

magazyn REJSY *razem z dodatkami*

Wojna nie jest czarno-biała. Ma różne odcienie

● O wspieraniu walczącej Ukrainy rozmawiamy z Igorem Traczem

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz zapowiedziami najciekawszych programów



Dziennik Bałtycki

80 LAT

Piątek
28.02.2025

www.dziennikbaltycki.pl

Nr 49 (24 410) // Rok 80
Cena 6,00 zł (w tym 8% VAT)

**Były premier
Mateusz Morawiec
ki** usłyszał zarzuty
ws. „wyborów
kopertowych” **str. 3**



**Oddział
neurochirurgii
gdańskiego szpitala,
jak jednostka
specjalna** **str. 8-9**

**Rejsunki,
czyli cotygodniowy
komentarz na bardzo
aktualny temat** **str. 20**



FOT. ISKRA

Magazyn Puls

**Jak gruzińskie
gangi badają teren.**
Premeir Donald Tusk
chce deportowania
przestępców
str. 26-27

KOMENTARZ

Kulisy politycznej gry

Wiecie Państwo, że buty dzielą się
na dwie kategorie - ładne albo wy-
godne. Rzadko kiedy zdarza się mieć
dwa w jednym. Z komentarzami jest
trochę podobnie...

Czytaj str. 24

FELIETON NA FALI

To i owo o blokerach

... Zdarzają się jednak o wiele bardziej
złośliwe blokery, które potrafią sku-
tecznie zablokować komputer czy do-
stęp do internetu, do czasu, aż im nie
zapłacimy.

Czytaj str. 2

MEDIA PO „WIECZÓR WYBRZEŻA” USTAWIAŁY SIĘ KOLEJKI. DZIŚ GAZETA MIAŁABY 68 LAT

„WW” rozbijał kioski



FOT. MATERIAŁY POLSKAPRESS

W tym roku „Dziennik Bałtycki” świętuje swoje 80. urodziny, a za nami byłyby 68. urodziny „Wieczoru Wybrzeża” - gazety, po którą do kiosków ustawiały się kolejki. Na czym polegał fenomen tego tytułu, po który sięgały dziesiątki tysięcy Pomorzan? **str. 16-17**

Nr ISSN 2353-6160

Nr indeksu 350-028



MATERIAL INFORMACYJNY ORLEN

0011266061

FUNDACJA ORLEN DLA POMORZA

Ważne projekty i wyjątkowa społeczność. Wolontariusze angażują się w lokalne działania - ochronę i promocję zdrowia, naukę i edukację, troszczą się o bioróżnorodność. W 2024 roku Fundacja ORLEN dla Pomorza wsparła 47 projektów na kwotę ponad 9,5 mln złotych

Czytaj na stronie 7

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

SOBOTA ● Będzie się działo, czyli premiery i zapowiedzi	PONIEDZIAŁEK ● Najważniejsze informacje sportowe z weekendu	WTOREK ● Strefa biznesu – informacje i analizy gospodarcze	ŚRODA ● Porady zdrowotne – medycyna, psychologia	CZWARTEK ● Coś dla miłośników historii kryminalnych...	PIĄTEK ● Cotygodniowe wydanie magazynu Puls
---	---	--	--	--	---

ZAMÓW PRENUMERATĘ: tel. 58 728 08 17 lub prenumerata@prasa.gda.pl, prenumerata@dziennikbaltycki.pl

Czy znany jest Państwu termin bloker? Bloker (ang. blocker) to rodzaj oprogramowania, które blokuje komputer lub urządzenie mobilne, zwykle z żądaniem okupu. To złośliwe oprogramowanie, które wyświetla się na wierzchu wszystkich okien i nie pozwala się zamknąć, dopóki nie zrobimy tego czego oczekuje. Takim łagodnym blokerem jest choćby komunikat, który wyświetla się na wielu portalach internetowych, który żąda od nas wyłączenia Adblocka i odświeżenia strony, żebyśmy mogli ją przeczytać. Czyli takie blokowanie strony, dopóki nie odłączymy jej możliwości wyświetlania reklam. To akurat blokowanie bardzo łagodne i nie nastrożające wielu trudności, bo wyłącznie nie Adblocka i odświeżenie strony zajmuje dwie sekundy i nie wiąże się dla nas z żadnymi kosztami, a mediom daje większe szanse zarabiania na reklamach, z których się utrzymują.

Zdarzają się jednak o wiele bardziej złośliwe blokery, które potrafią skutecznie zablokować komputer czy dostęp do internetu, do czasu, aż im nie zapłacimy.

Mam wrażenie, że hakerzy, którzy wymyślili takie złośliwe blokery musieli inspirować się typowymi dla ludzi zachowaniami, które charakteryzuje np. mafijne gangi wymuszające okup lub świat polityki.

Politycy też często stosują złośliwe blokery. Często blokują coś, w tym różne korzystne zmiany dla samego

FELIETON NA FALI

Maciej Sandecki,
redaktor naczelny
„Dziennika Bałtyckiego”



BLOKERZY DO BLOKOWANIA

blokowania, po to, żeby z tego blokowania osiągnąć indywidualne korzyści - czy to polityczne, czy finansowe.

Głównym blokerem świata stał się ostatnio Donald Trump i jego administracja, która wysłała różne „złośliwe blokery”, w kierunku wielu państw. Najokrutniejsze był ten wysłany w kierunku Ukrainy - zablokowaliśmy wam pomoc wojskową, jeśli nie dacie nam dostępu do metali ziem rzadkich. Okrutny, bo Ukraina będąca w stanie wojny z dysponującą bronią jądrową Rosją, nie ma innego wyjścia.

Trump wysłała również blokery do innych państw, w postaci dekretów o podwyższeniu ceł - m.in. Kanadzie, Unii Europejskiej czy Meksykowi. Nie stoją za tym argumenty ekonomiczne, ale konkretne korzyści polityczne, które Trump chce osiągnąć.

Z tych samych powodów jego administracja zablokowała dostęp dziennikarzom

różnych mediów (m.in. Associated Press) na konferencje prasowe, bo nadal używają określenia Zatoka Meksykańska, a nie Amerykańska jak wymyślił sobie Trump.

W polskiej polityce też często mamy do czynienia z blokerami. PSL, będące w koalicji rządowej blokuje liberalizację prawa aborcyj-

PSL blokuje liberalizację prawa aborcyjnego czy związki partnerskie, licząc, że uzyska w ten sposób jakieś korzyści polityczne

nego czy związki partnerskie, licząc, że uzyska w ten sposób jakieś korzyści polityczne. Choć moim zdaniem nie uzyska, bo w tej dziedzinie są więksi blokerzy.

Z blokerami mamy jednak styczność nie tylko w polityce, czy tej globalnej czy krajowej, ale bardzo często na poziomie bardzo, bardzo lokalnym.

W tym tygodniu pisaliśmy np. w Dzienniku Bałtyckim o dawnym XVII-wiecznym sierocińcu, którego remont zablokowało Towarzystwo Opieki nad Zabytkami. Zabytkowy budynek przy ulicy Sierociej, ma zostać wyremontowany i ma się w nim mieścić Dom Literatury. Zgodę na prace wydał Wojewódzki Konserwator Budynków, a władze Gdańska uzyskały na nie 45 mln unijnej dotacji. Mogą przepaść jeśli prace nie ruszą na czas, ale TOnZ postanowiło zablokować inwestycję z powodów czysto formalnych.

Podobnie zresztą jak Rada Dzielnicy Oliwa, która zablokowała właśnie zmianę nazwy fragmentu ulicy Jana Bażyńskiego na prof. Marii Janion. Z inicjatywą zmiany nazwy wyszedł Uniwersytet Gdański, który jako jedyny poniesie z tego tytułu koszty, bo tylko jego budynki obejmie zmiana adresu. Radni Oliwy zablokowali jednak zmianę, bo przekonują m.in., że nie minęło jeszcze pięć lat od śmierci profesor Janion, a dopiero po takim czasie, zgodnie z lokalnym prawem można zmarłym nadać ulicę. Zasada ta była zresztą już naruszana np. przy okazji nadania ulicy imienia Pawła Adamowicza czy Vaclava Havla. Co ciekawe piąta rocznica śmierci prof. Janion minie... w tym roku w sierpniu.

Jestem pełen wyrozumiałości dla argumentów prawnych, zarówno Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, jak i Rady Dzielnicy Oliwa. Nie mogę jednak oprzeć się wrażeniu, że jest w nich również coś ze złośliwego oprogramowania typu bloker.

POGODA NA WEEKEND

Piątek

4°C
1°C



Wiatr pñ.
7 km/h

Uwaga
Deszcz

Sobota

5°C
0°C



Wiatr pñ.
17 km/h

Uwaga
Deszcz

Niedziela

6°C
1°C



Wiatr zach.
20 km/h

Uwaga
Zachmurzenie

WAŻNE TELEFONY

800 190 590

– numer infolinii NFZ
dotyczącej postępowania w sytuacji
podejrzenia zakażenia koronawirusem

605 602 195

– telefon alarmowy WSSE: służy do powiadamiania
o nagłych sytuacjach zagrożenia
sanitarno-epidemiologicznego

58 77 63 444

– infolinia w sprawie koronawirusa,
czynna w dni powszednie
od godz. 7.00 do godz. 15.00



FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI

FOTOZAGADKA

Kto zgadnie, jaki obiekt widać na fotografii?

Co piątek publikujemy jedno zdjęcie wykonane przez naszego fotoreportera Przemka Świderskiego i pytamy Czytelników, jakie miejsce, lub jaki obiekt jest na nim uwieczniony.

Tym razem z powietrza uchwyczone zostało ostatnie tchnienie zimy. Odgadnąć łatwo nie będzie, a rozwiązanie zagadki opublikujemy w weekend na naszej stronie internetowej dziennikbaltycki.pl oraz na redakcyjnym facebooku. (AT)

KURSY WALUT

27.02.2025

Kupno/sprzedaż walut Kantor Green, tel. 58 346 02 48, Wrzeszcz przy Manhattanie, Dmowskiego, Grunwaldzka, Morena Carrefour, Rumia Auchan

EUR	412/420 (+)	GBP	496/503 (+)
USD	393/400 (-)	CHF	435/444 (-)
GBP	496/503 (+)		
CHF	435/444 (-)		

Kantor Max, Gdańsk, ul. Jagiellońska

EUR	412/420 (+)
USD	393/400 (-)
GBP	496/503 (+)
CHF	435/444 (-)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego, (o) bez zmian

DYŻURNY

„DZIENNIKA BAŁTYCKIEGO”

Pracuję w dziale wydarzeń „Dziennika Bałtyckiego” i czekam na Państwa listy pod adresem: andrzej.kowalski@polskapress.pl

Andrzej
Kowalski



POLSKA i ŚWIAT

WARSZAWA

– Pomysł organizacji tzw. wyborów kopertowych wyszedł ze sztabu wyborczego Andrzeja Dudy. Pan Bielan zadzwonił do pana Kaczyńskiego – stwierdził w czwartek europoseł Koalicji Obywatelskiej Dariusz Joński w RMF FM. Polityk powołał się przy tym na prace komisji śledczej. – Oczywiście Poczta Polska nie była do takiego zadania przygotowana – dodał europoseł. | PAP

”

Pomysł organizacji tzw. wyborów kopertowych wyszedł ze sztabu wyborczego Andrzeja Dudy

Dariusz Joński, europoseł KO

Morawiecki usłyszał zarzuty ws. „wyborów kopertowych”

Oprac. Lidia Lemaniak
Warszawa

Mateusz Morawiecki usłyszał zarzuty w śledztwie dotyczącym tzw. wyborów kopertowych. Były premier odmówił składania wyjaśnień w Prokuraturze Okręgowej w Warszawie.

Postawienie zarzutów Mateuszowi Morawieckiemu oraz jego przesłuchanie rozpoczęło się w czwartek o godz. 11:00. Wcześniej, o godz. 10:30, były premier zorganizował konferencję prasową.

Morawiecki przed budynkiem Prokuratury Okręgowej w Warszawie podczas konferencji podziękował pielęgniarkom i lekarzom, którzy pomagali wszystkim w trakcie pandemii koronawirusa.

– To był straszny czas. Zasztybko zapomnieliśmy o tym.

Za szybko puściliśmy w niepamięć te cierpienia, z którymi mieliśmy do czynienia – mówił.

Oceniał, że „w tamtym czasie trzeba było podejmować odważne decyzje”. – Inie bałem się podejmować takich decyzji, które wypełniały konstytucję. Konstytucja i jej artykuły, choćby 146, który nakłada na rząd, na premiera, odpowiedzialność za zachowanie porządku publicznego, bezpieczeństwa wewnętrznego. To, co działo się wtedy w państwie, groziło destabilizacją całego systemu – stwierdził Morawiecki.

Były premier zaznaczył, że „dzisiaj jest ścigany za wolę organizacji wyborów prezydenckich”. Powołał się na artykuł 128 konstytucji.

– Realizacja wyborów była moim obowiązkiem. Gdybym miał jeszcze raz podejmować decyzję, czy zlecać prace przygotowawcze umożliwiające przepro-



FOT. PAP/PAWEŁ SUPERNIAK

– W momencie jak się zapoznam z aktami, to będę składał zeznania – stwierdził Morawiecki po wyjściu z prokuratury

wadzenie wyborów, to bym jeszcze raz taką samą decyzję podjął – podkreślił.

Ówczesnej opozycji zarzucił „realizowanie swoich ciasnych

partyjnych interesów”. Przywołał też po raz kolejny argument, że wybory korespondencyjne były realizowane np. w Bawarii. Zdaniem b. szefa rządu, Platformy

mie Obywatelskiej „przede wszystkim zależało na wymianie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na Rafała Trzaskowskiego”.

Zarzuty prokuratury dotyczą tego, że jako premier przekroczył swoje uprawnienia i podjął działania bez podstawy prawnej w celu przygotowania i przeprowadzenia wyborów prezydenckich 10 maja 2020 roku w trybie wyłącznie korespondencyjnym.

Wniosek o uchylenie immunitetu Mateusza Morawieckiego w tej sprawie trafił do Sejmu w połowie stycznia. Kilka dni później były premier poinformował, że sam zrzekł się immunitetu, bo – jak tłumaczył – wie, że „prawda, prawo i sprawiedliwość zwyciężą i skończy się czas bezpodstawnych, politycznie motywowanych zarzutów”.

Wiosną 2020 roku, w trakcie pandemii COVID-19, ówczesny szef rządu polecił Poczcie Polskiej działania niezbędne do

przygotowania i przeprowadzenia wyborów prezydenckich, które w związku z rozprzestrzenianiem się koronawirusa miały odbyć się 10 maja 2020 roku w trybie korespondencyjnym (tzw. wybory kopertowe).

Ustawa w sprawie głosowania korespondencyjnego weszła w życie 9 maja 2020 roku. Mateusz Morawiecki już 16 kwietnia 2020 roku wydał dwie decyzje: Poczcie Polskiej, której polecił podjęcie działań zmierzających do organizacji wyborów prezydenckich w formie korespondencyjnej, oraz Państwowej Wytwórni Papierów Wartościowych, której polecił rozpoczęcie drukowania kart do głosowania i innych dokumentów niezbędnych w procesie wyborczym.

Ostatecznie wybory prezydenckie nie odbyły się 10 maja, tylko 28 czerwca. Głosowanie odbywało się – tradycyjnie – w lokalach wyborczych. PAP

REKLAMA

0111271092

ORKIESTRA KSIĘŻNICZEK

KONCERT WIEDENSKI 3

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA

29.03.2025.

BILETY - [ORKIESTRAKSIEZNICZEK.PL](https://orkiestraksiezniczek.pl)

* Kolejność uczestnictwa w Koncertach Wiedeńskich (części 1, 2, 3) jest dowolna. Poszczególne części nie łączą się ze sobą. PRZYKŁAD: Nie będąc na Koncercie Wiedeńskim 1 lub 2, można z powodzeniem uczestniczyć w Koncercie Wiedeńskim 3.

ZDROWIE

Oddział do zadań specjalnych

- Choć może to przypominać science fiction, czasem trzeba pacjenta w czasie operacji wybudzić, by porozmawiać z anestezjologiem czy z neuropsychologiem – opowiada prof. dr hab. med. Wojciech Kloc, kierownik Oddziału Neurochirurgii w gdańskim Szpitalu im. Mikołaja Kopernika.

STR. 8-9



FOT. PRZEMEK SWIDERSKI

WOJNA

Wojna nie jest czarno-biała

O sytuacji w Ukrainie, o okropnościach wojny, o pomaganiu żołnierzom i cywilom - rozmawiamy z Igorem Traczem, który wkrótce wyruszy z kolejnym konwojem pomocy STR. 18-19

KIEDY MORSKIE FARMY WIATROWE ZASTĄPIĄ „BRUDNE” ŹRÓDŁA ENERGII?

W ciągu najbliższych kilkunastu lat niemal jedna czwarta energetycznych mocy wytwórczych naszego kraju będzie mieściła się na Bałtyku. Mówimy o 18 gigawatach. Dla porównania, trzy reaktory elektrowni jądrowej w Choczewie dadzą 3 GW – mówi Jakub Budzyński, prezes Polskiej Izby Morskiej Energetyki Wiatrowej, wykładowca m.in. Uniwersytetu Morskiego w Gdyni

Tomasz Chudzyński

Przypominam sobie naszą rozmowę z jesieni 2020 roku. W tamtym czasie w kraju mieliśmy już za sobą decyzję o tym, że morską energetykę wiatrową tworzymy. Dziś za nami faza projektowania, ruszyła faza budowy pierwszych farm. Pytanie jednak, czy musiało to wszystko tak długo trwać?

Relatywnie oceniając, rzeczywiście to długi okres. Jed-

nak ta faza była potrzebna. W 2020 roku – pamiętajmy, byliśmy na samym początku drogi. W tamtym czasie nie mieliśmy jeszcze „ustawy offshore”, prace nad nią dopiero ruszały w parlamencie. A dokument ten jest podstawą, która reguluje chociażby kwestie rynkowe sprzedaży energii wyprodukowanej przez morskie farmy wiatrowe, poprzez

m.in. system aukcyjny. W tamtym czasie ci inwestorzy, którzy dziś uruchomili prace budowlane, palują dno morza, jak np. Orlen z farmą Baltic Power, albo wkrótce zaczną (jak PGE z farmą Baltica 2), dopiero uruchamiali fazę wyboru wykonawców i zakupową swoich projektów. To był żmudny proces doboru technologii, wyboru dostawców, uzyskiwania

wszelkich, niezbędnych pozwoleń i uzgodnień, które to również poprzedzały badania. Samo projektowanie, a następnie przygotowanie projektu do realizacji również zajęło sporo czasu. Pamiętajmy, że część inwestorów offshore to polskie podmioty publiczne, które musiały dotrzymywać przepisów Prawa Zamówień Publicznych, a nie jest to, deli-

katnie mówiąc, czynnik dynamizujący postępy inwestycji. Innymi słowy, prace projektowe, koncepcyjne, budowa elementów infrastruktury, musiały zająć owe cztery lata. I wydaje się, że był to okres optymalny. Właściwie dość szybko się z tym uwinęliśmy.

Niedawno rozpoczęły się pierwsze prace budowlane

na morzu. Czy realne są harmonogramy, które mówią o tym, że pierwszy prąd z polskich morskich farm wiatrowych popłynie w roku 2027, a potem 2028?

Jak najbardziej. W tym czasie, zgodnie z deklaracjami inwestorów, instalacje na morzu powinny być gotowe. Jest to okres, w jakim podobne zagraniczne inwestycje realizowano. Trzeba tu



W energetyce wiatrowej procesy produkcji są w ograniczonym zakresie do skontrolowania przez człowieka, natomiast stabilność morskich farm wiatrowych nie podlega dyskusji

jednak podkreślić, że bardzo dużo w tej kwestii do powiedzenia ma operator sieci przesyłowych, czyli PSE, polski podmiot, monopolista na polskim rynku. Decydująca będzie gotowość do odbioru energii wytwarzanej na morzu. Trzeba jednak zaznaczyć, że rozbudowa lądowej infrastruktury przyłączeniowej i całego systemu sieci dedykowanych offshore wind postępuje bardzo dynamicznie. Uważam, że dotzymanie harmonogramu jest bardzo realne.

Energetyczne sieci przesyłowe mają przechodzić intensywny rozwój, co zapowiedział niedawno m.in. premier Donald Tusk. Kwestia przestarzałej, niewystarczającej infrastruktury przesyłowej była tematem wielu dyskusji, m.in. w kontekście fotowoltaiki i braku stabilności tego źródła odnawialnej energii. Bo panele w nocy prądu nie wytwarzają. Ale offshore wind to nie fotowoltaika... Krótko mówiąc, na morzu prawie zawsze wieje.

W starej szkole energetycznej morskie farmy wiatrowe kwalifikują się jako źródło niestabilne, bo definicja w taki sposób klasyfikuje wszystkie źródła, które bazują na zjawiskach atmosferycznych, a nie na tym, ile węgla dorzucimy do kotła, albo ile jąder atomowych uranu rozszczepimy w reaktorze. W energetyce wiatrowej procesy produkcji są w ograniczonym zakresie do skontrolowania przez człowieka, natomiast stabilność morskich farm wiatrowych nie podlega dyskusji. Z racji warunków występujących na Morzu Bałtyckim, a szczególnie w jego południowej części, wiatr wieje w sposób optymalny - odpowiednio silny i niemal stały. Co prawda, wpływ offshore wind na tzw. bilansowanie sieci jest znikomy, bo jednak nie jest to „zawodowa”, sterowalna jednostka wytwórcza. Natomiast sam wolumen wytwarzanej energii z morskich farm wiatrowych będzie potężny. Współczynnik efektywności, czyli czas życia danego urządzenia, w którym pracuje ono z pełną mocą, jest zbliżony do bloków węglowych i tylko trochę niższy od bloków jądrowych. Wynosi 50-60 proc. To się oczywiście zmieniło na przestrzeni czasu,



J. Budzyński, Polska Izba Morskiej Energetyki Wiatrowej

bo technologia się rozwijała. Montowane dziś turbiny mają moc 15 MW, kilka, kilka-naście razy więcej niż te instalowane 10-15 lat temu.

Musimy mieć możliwość odbioru prądu wytworzonego na morzu, jak sam pan wskazywał.

To oczywiście. Kiedy pierwsi inwestorzy przystępowali do projektowania swoich instalacji offshore wind, polski system mógł odebrać około dwa gigawaty mocy z morza i przez długi czas, na taki właśnie wolumen opiewały wydane warunki przyłączeniowe, a potem podpisane umowy przyłączeniowe. Wraz z rozwojem w Polsce idei offshore wind, PSE niejako na kredyt zaczął podpisywać z inwestorami kolejne umowy, łącznie na około 8,5 GW, podczas gdy infrastruktura była w takim stanie, że nie było mowy, żeby taki wolumen odebrać. Równocześnie PSE rozpoczęły intensywny proces rozwoju sieci. Rozpisałi plan inwestycji do 2035 roku i trzeba powiedzieć, że konsekwentnie go realizują. Co ważne, modernizacja sieci przesyłowych pomoże całemu systemowi energetycznemu, w tym przyszłej elektrowni jądrowej. Trzeba zaznaczyć, że północ Polski pod względem sieci przesyłowych to była pustynia, mieliśmy w regionie właściwie tylko sieć dystrybucyjną.

Zatem pod kątem energetycznym rozwój morskich farm wiatrowych i rozbudowa sieci przesyłowych stanowi wielki skok modernizacyjny naszego kraju i samego północnego regionu - województw pomorskiego, kujawsko-pomorskiego i zachodniopomorskiego.

Jesteśmy w przededniu uruchomienia polskiej morskiej energetyki wiatrowej. Jak offshore wind wpłynie na system energetyczny Polski, biorąc pod uwagę fakt, że uruchomienie elektrowni jądrowej to jeszcze dekada, a nasze przestarzałe bloki węglowe są na wykończeniu?

Żyjemy w dość ciekawych czasach, również jeżeli chodzi o megatrendy energetyczne. W Europie zaczynają pojawiać się coraz donioślejsze krytyczne głosy na temat Zielonego Ładu i konieczności reformy jego założeń. Do niedawna nie do pomyślenia było planowanie modernizacji bloków węglowych. W świetle obłożenia różnego rodzaju opłatami karnymi megawatogodziny wytworzonej źródłem węglowym było to po prostu nieopłacalne. Nie wiemy, co się stanie za dwa lata, skoro trwa dyskusja na temat założeń transformacji energetycznej, ale na dziś bloki węglowe są skazane na śmierć - ten kierunek obowiązuje. Zgodnie z nim, w Polsce, w ciągu 5-6



Morskie farmy wiatraków rozstawione są m.in. na Bałtyku w rejonie duńskich wybrzeży

lat wygaszonych zostanie około 7 gigawatów energetyki węglowej. Mniej więcej tyle samo GW w tym samym czasie wejdzie do systemu z morskich farm wiatrowych. Offshore idealnie zrównoważy straty, które odczuwalibyśmy w związku z rezygnacją z węglowego wolumenu. Musielibyśmy coraz więcej energii importować, gdybyśmy nie wykorzystywali morskiego wiatru. Natomiast kiedy zaczniemy realizować projekty offshore wind tzw. drugiej fazy rozwoju tego sektora w Polsce, bardzo mocno odczujemy przypływ energii, przyrost mocy wytwórczych pochodzących z Bałtyku. Według planów - 18 GW krajowej mocy będzie pochodziło z morskich farm wiatrowych. Dla porównania - obecnie w polskim systemie „pracuje” 40 GW ze wszystkich źródeł. W 2040 r. ma to być nieco ponad 70 GW, zatem 1/5, blisko ¼ całości energetycznych mocy wytwórczych naszego kraju będzie mieściła się na Bałtyku. Co ciekawe, trzy bloki jądrowe, które powstaną do 2040 roku w Choczewie, mają mieć łącznie 3 GW. Jak łatwo policzyć, 6 razy mniej niż z morskich farm wiatrowych. Podkreślę jednocześnie, że nie jestem przeciwnikiem energetyki jądrowej. Wiatr i atom będą się doskonale w polskim miksie energetycznym uzupełniać. Niemniej odczuwalny wpływ energetyki ją-

drowej na polski system, nawet przy założeniu, że zbudujemy kolejną elektrownię, to jest kwestia dwóch dekad. Na tę kwestię trzeba po prostu patrzeć obiektywnie. Czas budowy reaktora jest po prostu taki, a nie inny.

Tych 18 GW wytworzy jaka liczba farm wiatrowych?

Około 20. Każda z nich będzie miała nieco inną moc przyłączeniową. Niektóre po 1,5 GW, inne po 500 MW, 350 MW. W tzw. pierwszej fazie są one rzeczywiście dość mocno zróżnicowane. Bierzemy się to stąd, że projektanci w fazie przygotowywania planów nie do końca wiedzieli, jaką technologią będą dysponować. Były to absolutne początki też branży w Polsce. Projekty drugiej fazy będą bardziej wyrównane - oscylują wokół 800-1000 megawatów. Tu zaznaczmy, mianem drugiej fazy określa się wszystkie projekty offshore wind, które będą przedmiotem min. czterech aukcji w latach 2025-2031 (w sumie ok. 12 GW mocy rozłożonych na 12 oddzielnych projektów).

Pytanie, jak morska energetyka wiatrowa wpłynie na portfele Polaków. Kwestia cen prądu jest nawet jednym z tematów trwającej obecnie kampanii przed wyborami prezydenckimi. Krótko mówiąc, czy będziemy płacić mniej?

Odpowiedź na to pytanie jest bardzo złożona, wykraczająca chyba poza publicystyczny komentarz. Żeby nie zaciemniać obrazu, efekt, o który pan pyta, nie nastąpi „jak ręką odjął”. Głównym czynnikiem generującym dziś ceny energii dla mieszkańców Polski są unijne, biurokratyczne obostrzenia związane z europejską polityką środowiskową. Gdyby zdjąć kary dotyczące emisji, nasze portfele odczułyby taką zmianę dosłownie z dnia na dzień. Pamiętajmy, polska energetyka wciąż węglem stoi, i uważam, że choćby do celów bilansowania sieci w części węgiel powinien być nadal obecny w polskim miksie energetycznym, chyba że planujemy całość zastąpić atomem. Problem jest wyraźny, bo chociażby koszty prądu wyższe o 1/3 niż w innych krajach unijnych ograniczają poważnie konkurencyjne zdolności naszego przemysłu. Mówi o tym obecny, pro-unijny przecież, rząd. Pamiętajmy, że offshore wind będzie zastępował źródła „brudne”, węglowe, stopniowo. Począwszy od pierwszego gigawata farmy Orłenu, przez kilkanaście lat. Jeśli obecne przepisy związane z emisją nadal będą obowiązywały, to obniżki cen prądu będą proporcjonalne do procesu przyłączania kolejnych morskich farm wiatrowych.

„ Jakub Budzyński

W Europie zaczynają pojawiać się coraz donioślejsze krytyczne głosy na temat Zielonego Ładu i konieczności reformy jego założeń

Lażenie było niezwykle, niesamowite i wręcz w sposób oczywisty niepraktyczne. Tyle że Adolf Hitler w swoim szaleństwie nie dopuszczał sprzeciwu. Domagał się działa, które będzie osiągało nieprawdopodobne parametry. Działa kolejowego, które miało być jego pięścią. Kaliber tego „cuda” to 800 mm, waga pocisku - 1720 kilogramów. Nośność miała być nieprawdopodobna - do 45 km, dzięki czemu stanowisko ogniowe mogłoby znajdować się poza zasięgiem wrogiej artylerii.

Hokejowa laska

Dla całego przedsięwzięcia wybrano miejsce idealne. Nadmorski teren wokół Darłowa - od Darłówka Zachodniego po Bobolin. To około 6 km terenów położonych bezpośrednio nad Bałtykiem. Całość ogrodzono drutem kolczastym, postawiono wartowników, wybudowano baraki dla robotników i przedłużono linię kolejową z Darłowa do Darłówka Zachodniego i dalej wzdłuż morza w kierunku Bobolina. Powstała też droga asfaltowa o wzmocnionej konstrukcji, którą miano przewozić ciężkie ładunki plus dwa mosty na rzece Grabowej - drogowy i kolejowy.

Już w 1936 roku rozpoczęto budowę tajnego poligonu artyleryjskiego. Zajęła się tym hitlerowska organizacja paramilitarna Fritz Todt, która miała swoje obozy pracy i w nieludzki sposób eksploatowała jeńców wojennych i przymusowych robotników z okupowanych krajów. Jak widać plany były dalekosiężne. Głównym inżynierem budowy był SS - obersturmbannführer Eckel. Poligon był samowystarczalny - posiadał m.in. własne ujęcie wody, agregaty prądotwórcze, własną łączność, stację meteorologiczną, punkty obserwacyjne, stanowiska artylerii przeciwlotniczej i nabrzeżnej, schrony, kasyno oficerskie, domy dla rodzin wojskowych. Obrazu całości dopełniały budynek komendatury, fabryka amunicji, koszary, stołówka i techniczne budowle poligonowe. Projekt był niesamowity tak samo, jak to, co planowano tutaj wybudować. Pierwsze próbne strzelanie z armat kalibru powyżej 150 mm Niemcy przeprowadzili już pod koniec 1936 roku. Początek 1938 roku to start tajemniczego projektu.

Z lotu ptaka budowla przypominała laskę do hokeja na trawie. Cały poligon i przyległe obszary zajmował powierzchnię około - 250 hektarów. Tu testowano największą armatę świata - Dorę i jej bliźniaka Gustawa 2. Zakładano, że ich pociski będą w stanie przebić mury żelbetonowe o grubo-

ści ośmiu metrów i płyty pancerne o grubości ponad metra.

Führer przyjechał pancernym pociągiem

Adolf Hitler był żywo zainteresowany niezwykle projektem i przyjechał do Darłowa w 1943 roku. Działa Dora i Gustaw 2 były ukryte za tzw. Chińskimi Murami, których pozostałości istnieją do dnia dzisiejszego i świadczą o geniuszu niemieckich inżynierów. Wszystko odbywało się na supertajnym poligonie artyleryjskim, zbudowanym na osobisty rozkaz führera w ramach programu o kryptonimie „Natychmiast”. Dora była armatą kolejową, która musiała jechać dwoma osobnymi torami. Tak samo Gustaw 2. Obie wykonała firma Krupp, a ich zadaniem miało być zniszczenie Linii Maginota. Wielohektarowy poligon był ściśle strzeżony. Okoliczna ludność nie wiedziała, co się na nim dzieje. W pobliżu miejscowości Bobolin (obecnie gmina Darłowo - teren Uzdrowiska Dąbki) widać nadal pozostałości trzech bunkrów. Są także na nich ślady tarcz - bunkrów. W jednym z nich jest nawet płyta stalowa o grubości 20 centymetrów. Na niej testowano eksperymentalne pociski mniejszego kalibru.

- Adolf Hitler przyjechał na tajny poligon pod koniec zimy 1943 r. - 18 marca - mówi Leszek Walkiewicz, pasjonat lokalnej historii z Darłowa. - Wódz III Rzeszy podróżował pancernym pociągiem osiągającym prędkość do 160 kilometrów na godzinę. Dojechał nim bezpośrednio na darłowski poligon. Linia kolejowa, którą podróżował, zachowała się do dziś. Obok Hitlera kroczyli m.in. Martin Bormann, Albert Speer czy profesor Ferdinand Porsche - twórca czołgów Tygrys. Przybocznik wodza, i oczywiście on sam, z ogromnym przejęciem oglądali dział kolejowe - Gustaw 2, które było wielkości kilkupiętrowego budynku. Podziwiano też nowe czołgi i działa samobieżne. Trzeba podkreślić, że ta wizyta jest bardzo dobrze udokumentowana, bo zarejestrowała ją niemiecka kronika filmowa. Na tym obrazie widać, że Hitler był bardzo zadowolony. Objeżdżał m.in. mechaniczny sposób ładowania największego działa na świecie pociskiem przeciwpancernym o kalibrze 800 mm. Był też świadkiem wystąpienia ogromnego pocisku o masie 1720 kilogramów. Pocisk przeleciał ponad 25 tysięcy metrów i wpadł do morza, powodując ogromną falę. Taki pokaz trwał godzinę. Później wódz III Rzeszy z najbliższą świtą wsiał do swojego pociągu i przez Sławno udał się do Berlina.

To konstrukcja, która skrywała Dorę i także bliźniacze działo - Gustawa 2. Był to rodzaj

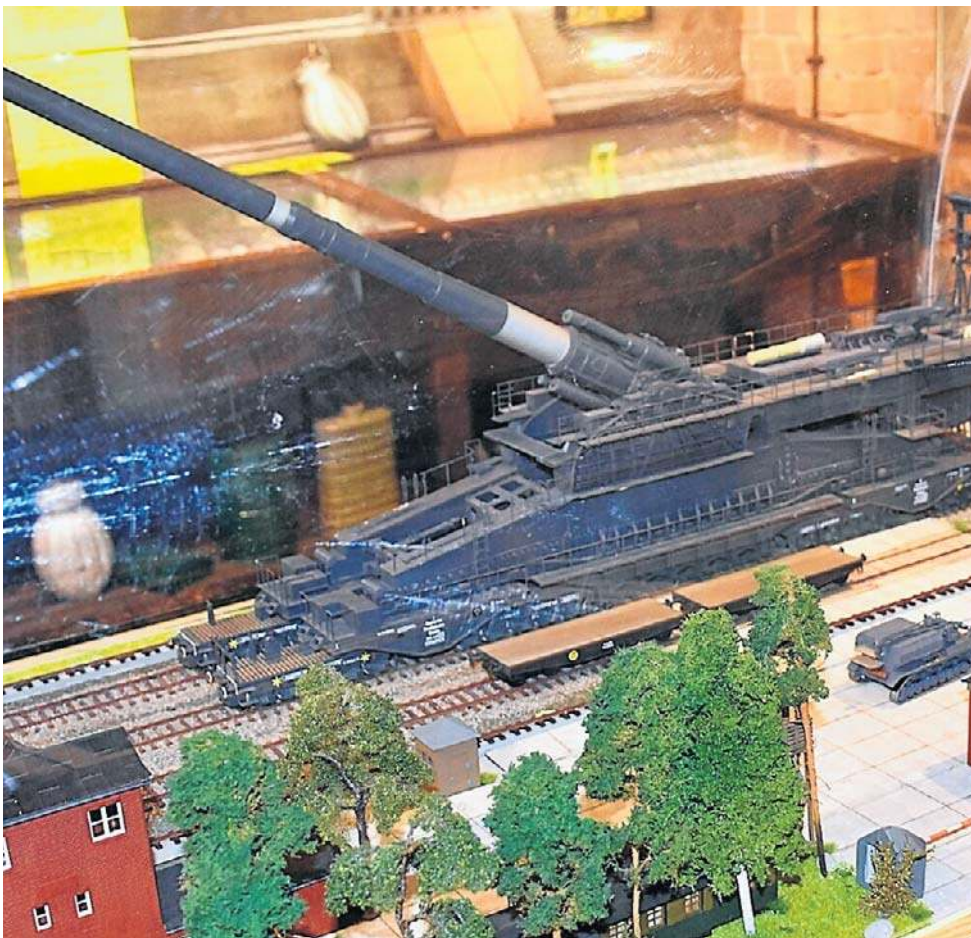
ARTYLERYJSKA GIGANTOMANIA

W 1943 roku do Darłowa, wówczas Rugenwalde, przyjechał Adolf Hitler ze swoją świtą. Powód miał ważny. Ważyły się losy II wojny światowej i na tutejszym tajnym poligonie miano mu zaprezentować nową broń...

Tomasz Turczyn



Makieta dział kolejowego Dora znajduje się w zbiorach Muzeum Ziemi Sławieńskiej



Jeszcze jedno ujęcie lekkiej makiety Dory. W rzeczywistości dział ważyło wiele ton

wysokiego muru z żelbetonu, gdzie góra była wypełniana deskami. Całość była tak zamaskowana, że pilot przelatującego samolotu widział... imitację jeziora. Podobno przy wystrzale Dory huk był tak potężny, że te deski wypadały, a w odległości 5 km dalej wypadały szyby z Zamku Książąt Pomorskich w Darłowie.

Pieniądzy nie ma...

Leszek Walkiewicz dodaje, że ciekawostką jest niezbadana kwestia podziemi na supertajnym poligonie Adolfa Hitlera.

- Przypuszcza się, że tych podziemi mogło nie być, gdyż Dora ważyła wiele ton i mogłyby nie wytrzymać jej nacisku - mówi autor książki pt. „Tajemnice Militarne Ziemi Darłowskiej”. - Wskazuje się też, że mogły one znajdować się w innym miejscu. Pamiętajmy, że wszystko jest na terenie terazniejszej jednostki polskiej armii, a jak wiemy, wojsko nie ma pieniędzy na badania. Cały ten teren nie jest jeszcze zabudowany. Moim marzeniem jest stworzenie nadmorskiego szlaku militarnego. Bo na tym terenie zaczynał się Wał Pomorski. Fajnie by było, gdyby to wszystko mogli oglądać turyści.

I częściowo mogą, bo pasjonat militariów Marian Laskowski odkopał jedno ze stanowisk artyleryjskich nad morzem w Darłównie Zachodnim i latem udostępni je turystom. Drugą ciekawostką, ale prezentowaną przez Mariana Laskowskiego w prywatnym Muzeum Techniki Wojskowej w Małachowie, jest kula bunkier z czasów II wojny światowej, którą odkopał na plaży w okolicy Bobolina, a która była jednoosobowym stanowiskiem obserwacyjnym wkopanym w ziemię, w środku którego znajdował się żołnierz. Jeszcze jedną ciekawostką, która trafiła do tego muzeum, jest element tarczy strzelniczej - stalowej części bunkra, który również był zakopany na plaży. Na niej widać ślady po eksperymentalnych pociskach, które testowano na tajnym poligonie.

- Uzyskanie zgód na wydobycie tych pozostałości po II wojnie światowej nie było łatwe, ale cieszę się, że oba projekty doszły do skutku i w ten sposób udało się uratować część lokalnej historii - mówi Marian Laskowski.

Teren, na którym zlokalizowano dawny niemiecki poligon znajduje się na terenie Polskich Sił Zbrojnych i osoby postronne nie mają prawa tutaj wstępu. W 1945 roku Armia Czerwona wkroczyła na teren poligonu 7 marca. Krótko przed tym Niemcy wysadzili część strategicznych budowli. Rosjanie przebywali na poligonie do 17 marca 1948 roku i wówczas wywieźli do ZSRR większość armat, pocisków, urządzeń.

Ponad 9,5 mln złotych od Fundacji ORLEN dla Pomorza

Ważne projekty i wyjątkowa społeczność. Wolontariusze angażują się w lokalne działania - ochronę i promocję zdrowia, naukę i edukację, troszczą się o bioróżnorodność.

W 2024 roku Fundacja ORLEN dla Pomorza wsparła 47 projektów na kwotę ponad 9,5 mln złotych. Pomoc otrzymały m.in. ofiary powodzi, która miała miejsce we wrześniu 2024 roku. Istotnym elementem działań Fundacji były też projekty związane ze wsparciem edukacji, bezpieczeństwa, zdrowia, ochrony bioróżnorodności, a także wolontariatem pracowniczym, w który zaangażowało się ponad 730 osób!

Pomagamy powodziom

Odbudowa szkoły we Wleńcu, remont jadalni i sal lekcyjnych w Skorogoszczu czy organizacja posiłków dla najuboższych osób w Łądku Zdrój - to tylko niektóre akcje Fundacji ORLEN dla Pomorza, które odmieniły życie ofiar powodzi.

Każdy chciał pomóc, więc w Gdańsku zorganizowano także zbiórkę dla poszkodowanych: zgromadzono łącznie 3500 butelek wody, 8000 maseczek ochronnych, 2400 sztuk rękawic, plandeki, opatrunki, bandaż i plastry, a także środki czystości. Poza tym zebrano 18 kartonów z żywnością i kilkadziesiąt kilogramów karmy dla zwierząt.

- Odzew był natychmiastowy, a skala pomocy przekroczyła nasze oczekiwania. Pracownicy Grupy Kapitałowej ORLEN po raz kolejny pokazali, że potrafią działać wspólnie i bardzo skutecznie. Cieszymy się, że mogliśmy wesprzeć poszkodowanych w powrocie do normalnego życia - mówi Anna Oczół, Prezes Fundacji ORLEN dla Pomorza.

Wspieramy edukację

Ponad 800 dzieci wzięło udział w zajęciach związanych z krzewieniem idei honoro-

wego krwiodawstwa. Odbyły się one dzięki dofinansowaniu zakupu sprzętu edukacyjnego przez Fundację ORLEN dla Pomorza. To tylko jeden z 10 projektów związanych z nauką, edukacją i oświatą organizowanych pod jej patronatem.

Kolejne to m.in. współfinansowanie programu stypendialnego BONA FIDE, wspierającego rozwój najzdolniejszych polskich studentów, a także organizacja projektu edukacyjnego „Jasielska Liga Naukowa z ORLENEM”.

Uczymy bezpieczeństwa

Bezpieczeństwo to priorytet - nie tylko w ruchu drogowym. Wiedzą już o tym uczniowie pomorskich szkół podstawowych, którzy wzięli udział w projektach „Uczę się bezpieczeństwa” i „Bezpieczny nastolatek w świecie cyfrowym”. Łącznie ponad 10 tys. młodych ludzi zostało beneficjentami programu wspieranego kolejny rok przez Fundację ORLEN dla Pomorza i Komendę Wojewódzką Policji w Gdańsku.

Dbamy o zdrowie

Fundacja ORLEN dla Pomorza w 2024 roku zrealizowała też projekty w obszarze związanym z ochroną zdrowia. Wsparcie otrzymała m.in. gdańska Fundacja Przemek Dzieciom z przeznaczeniem na dofinansowanie zakupu sprzętu rehabilitacyjnego dla dzieci z niepełnosprawnościami. Darowiznę przekazano też na rzecz Kartuskiego Centrum Caritas na dofinansowanie zakupu elementów wyposażenia hospicjum stacjonarnego dla osób terminalnie i nieuleczalnie chorych w Kartuzach.

W ramach dbałości o ochronę zdrowia psychicznego młodych Pomorzan udzielone zostało wsparcie na rzecz Fundacji Oparcia Społecznego Aleksandry



Prace ogrodowo-porządkowe w gdańskim zoo



Wolontariusze ORLENU zadbali o teren ośrodka Pomorskiej Farmy Życia



Wsparli też Schronisko dla Bezdomnych Zwierząt Promyk

„FOSA” z przeznaczeniem na dofinansowanie kosztów utrzymania Placówki Wsparcia Dziennego w Rusocinie. Placówka ta zapewnia wsparcie psychologiczne i psychoterapeutyczne dla dzieci i młodzieży zamieszkujących na terenie powiatu gdańskiego. Z pomocą Fundacji FOSA zorganizowano też webinar dot. depresji dla pracowników GK ORLEN.

Chronimy bioróżnorodność

Ponad 1350 uczniów wzięło udział w warsztatach dot. ochrony bioróżnorodności. Zajęcia odbyły się w ramach edukacji ekologicznej dla dzieci ze szkół podstawowych, mieszkających w sąsiedztwie zakładów rafinerijnych ORLEN. Fundacja kontynuowała w ten sposób realizację projektu „Bioróżnorodność Pomorza”.

W 2024 roku rozpoczęto też nabór do nowego Programu Grantowego „Bałtycki Grant Bioróżnorodności”, którego celem jest wspieranie działań na rzecz ochrony i odbudowy bioróżnorodności Morza Bałtyckiego. Całkowita pula grantów to 4 mln zł.

Wspieramy wolontariat pracowniczy

Wolontariusze ORLENU każdego roku chętnie angażują się w akcje charytatywne. W 2024 roku wzięli udział m.in. w akcji sadzenia drzew na terenie nadmorskim. Wsparli także prace związane z otwarciem Pomorskiej Farmy Życia i aktywnie działali na rzecz Schroniska dla Bezdomnych Zwierząt Promyk. Łącznie zrealizowano 13 projektów wolontariackich, w których udział wzięło 730 wolontariuszy.

- Naszą misją jest wszechstronna działalność, wnosząca pozytywny wkład w rozwój otoczenia społecznego i przyrodniczego. Jednym z elementów aktywności Fundacji jest także wolontariat pracowniczy. Od wielu lat pracownicy naszej firmy angażują się w różne akcje charytatywne, podczas których frekwencja zawsze jest bardzo wysoka. Takie zaangażowanie jest dla nas niezwykle ważne i mamy nadzieję, że w kolejnych latach będzie równie wysokie - podsumowuje Anna Oczół, Prezes Fundacji ORLEN dla Pomorza.

- NASZĄ MISJĄ JEST WSZECHSTRONNA DZIAŁALNOŚĆ, WNOŚĄCA POZYTYWNY WKŁAD W ROZWÓJ OTOCZENIA SPOŁECZNEGO I PRZYRODNICZEGO

ODDZIAŁ DO ZADAŃ SPECJALNYCH

– Choć może to przypominać science fiction, czasem trzeba pacjenta w czasie operacji wybudzić, by porozmawiać z anestezjologiem czy z neuropsychologiem
– opowiada prof. dr hab. med. Wojciech Kloc, kierownik Oddziału Neurochirurgii w gdańskim Szpitalu im. Mikołaja Kopernika

Jolanta Gromadzka-Anzelewicz

Naukowcy z Wrocławia, matematycy, we współpracy z neurochirurgami, stworzyli trójwymiarowy model mózgu. Ma wesprzeć lekarzy w planowaniu przebiegu operacji...

Niewątpliwie integracja wirtualnej rzeczywistości z chirurgią i planowaniem chirurgicznym otwiera nowe perspektywy dla bardziej precyzyjnych, bezpieczniejszych i skuteczniejszych interwencji medycznych. Możliwości przedstawiania anatomii człowieka na podstawie badań zebranych z tomografii komputerowej i z rezonansu magnetycznego ułatwiają zaplanowanie przebiegu operacji.

Czy tego nie było do tej pory?

Takie formy już są. Nowoczesne metody obrazowania, jak np. neuronawigacja, pozwalają takie rzeczy robić w innych oprogramowaniach, także model wirtualnego obrazowania, ale trwają cały czas naukowe poszukiwania, żeby to jeszcze bardziej udoskonalić. Pomysł musi wejść do użytku codziennego, bo jego wartość przekłada się też na pieniądze. Nie może pochłaniać zbyt dużo czasu, być skomplikowane w obsłudze, a szybkość przekazywania informacji musi być w dzisiejszym świecie szybka.

Oddział neurochirurgii w Szpitalu im. Kopernika istnieje już dwadzieścia lat. Jakże były okoliczności jego powstania?

Z perspektywy czasu można powiedzieć, że okoliczności były poniekąd przeżabawne. Po odejściu ze szpitala klinicznego Akademii Medycznej przez blisko trzy lata pracowaliśmy w prywatnym Szpitalu Gdańskim, który funkcjonował na bazie Szpitala Kolejowego. Po rozmaitych perturbacjach, głównie finansowych (w tym niepłacenia nam pensji przez pół roku) jego właściciele nagle, z dnia na dzień, zwolnili cały nasz zespół lekarski i zatrudnili inny.

A co z pacjentami?

Poszli za nami. Pomocną dłoń wyciągnął do tych chorych doktor Michał Pawlak, wybitny ortopeda, który przyjął wszystkich na swój oddział, dzięki



Neurochirurg, profesor dr hab. Wojciech Kloc

czemu mogliśmy dokończyć ich leczenie już na ortopedii. Ta sytuacja zaniepokoiła władze samorządowe, głównie pana marszałka Bogdana Borusewicza, który wtedy pełnił funkcję marszałka województwa do spraw zdrowia. Marszałek zaprosił nas na rozmowę i spytał, czy nie chcemy stworzyć oddziału neurochirurgii w Szpitalu Wojewódzkim (który po włączeniu do niego Szpitala Kolejowego funkcjonował jako Pomorskie Centrum Traumatologii).

Na Pomorzu brakowało wówczas łóżek dla pacjentów?

To prawda, stan opieki neurochirurgicznej w województwie był fatalny.

Był pan już w tym czasie wojewódzkim konsultantem w tej dziedzinie...

Jako konsultant wielokrotnie zgłaszałem ten problem, ale mimo że powstawały plany i programy, m.in. „Zdrowie dla Pomorza” – o potrzebach neurochirurgii jakoś się nie mówiło...

Dopiero marszałek Borusewicz...

Z marszałkiem szybko doszliśmy do porozumienia. Zadanie nie było łatwe. Dostaliśmy trzy miesiące na stworzenie oddziału, znalezienie miejsca,

przygotowanie tego miejsca, zorganizowanie wszystkich przetargów na zakup sprzętu. Wydawało się to niemożliwe, a jednak się udało. 9 stycznia 2004 roku zoperowaliśmy pierwszego pacjenta.

A kontrakt z NFZ?

Fundusz obiecał nam, że jak oddział powstanie, da nam kontrakt, który zapewni leczenie około tysiąca pacjentów rocznie. Dał o połowę mniejszy, czyli sumę, która absolutnie nie pozwalała samorządowi na utrzymanie tego oddziału w strukturze szpitali marszałkowskich. Ale na szczęście z biegiem czasu te sztywne obostrzenia finansowe zniesiono. Byliśmy jednak pełni entuzjazmu. Mielśmy nowoczesny sprzęt i młody, ambitny zespół ludzi, którzy chcieli wdrażać nowe metody leczenia.

Jakie to metody?

Od początku podejmowaliśmy się rzeczy do tej pory niemożliwych do wykonania w województwie. Po pierwsze, wdrożyliśmy metodę leczenia endowaskularnego chorób naczyń mózgu.

Na czym to polega?

Najprościej mówiąc, zabiegi endowaskularne, czyli wewnętrzne naczyńowe, to zabiegi przeprowadzane wewnątrz światła

naczynia krwionośnego bez konieczności jego otwierania. Minimalnie inwazyjna neurochirurgia wymaga małych nacięć i specjalistycznych narzędzi, co pozwala chirurgom na namierzenie zmian chorobowych z niezrównaną precyzją, co z kolei zwiększa ogólne bezpieczeństwo pacjenta.

Przez pierwsze trzy lata współpracowaliśmy na tym polu ze szpitalem klinicznym AMG z radiologią. Chorzy byli przyjmowani do nas, a następnie transportowani karetkami na bardzo trudne zabiegi na radiologię do Akademii Medycznej, tam byli zaopatrywani endowaskularnie i wracali do nas. Zabiegi przeprowadzali tam dr Roman Kunicki, dr Wojciech Zapaśnik i prof. Maciej Szajner. Byliśmy wtedy jedynym ośrodkiem w województwie i jednym z pierwszych w Polsce, w którym operacje były w ten sposób wykonywane. Dopiero później szpital wojewódzki kupił angiografię i mogliśmy robić je już u siebie.

Co na tym zyskali pacjenci?

Takie zabiegi endowaskularne trwają krócej niż klasyczna operacja, są bardzo precyzyjne, nie pozostają po nich blizny, a ryzyko powikłań jest znikome. Można je przeprowadzać w znieczuleniu miejscowym, co również jest ważne.

Kolejne wyzwanie...

Wprowadzenie technik neuromodulacji, czyli dziedziny oferującej nowe możliwości leczenia takich schorzeń jak choroba Parkinsona czy padaczka. Takie zabiegi jak głęboka stymulacja mózgu (DBS), przezczaszkowa stymulacja magnetyczna (TMS) i stymulacja nerwu błędnego (VNS) zmieniają sposób, w jaki radzimy sobie z tymi trudnymi zaburzeniami. W chorobie Parkinsona wszczepia się stymulator DBS. Podczas operacji neurochirurg umieszcza w mózgu cienką elektrodę podłączoną do stymulatora wszczepionego pod skórą w obrębie klatki piersiowej. W ten sposób stymulator przesyła impulsy elektryczne do obszaru mózgu odpowiedzialnego za sprawność ruchową i niweluje lub zmniejsza drżenie samoistne. Natomiast w leczeniu padaczki, głównie u dzieci, stosuje się stymulatory nerwu błędnego. Współpracujemy w tej materii z Kliniką Neurologii Dzieci (prof. Maria Mazurkiewicz-Beldzińska) i z Poradnią Padaczkową, którą prowadzi dr Lidia Michalak.

Nasz oddział zajmuje się pacjentami, których nikt nie chce leczyć, głównie dziećmi oraz chorymi po ciężkich urazach ze spastycznością. Wszczepiamy im pompy baklofenowe, które są alternatywnym sposobem podawania leku. Pompa wszczepiona w powłoki brzuszne pacjenta, pod wpływem ciśnienia gazu wypycha zawarty w wewnętrznym zbiorniczku baklofen do silikonowego drenu prowadzącego do przestrzeni podpajęczynówkowej kanału kręgowego. To powoduje, że objawy bólowe ustępują, chorzy tak nie cierpią. Ostatnio okazało się, że nasz oddział prowadzi prawie 100 takich chorych w województwie, co stanowi 48 proc. wszystkich leczonych tak pacjentów w Polsce. Można więc powiedzieć, że województwo pomorskie jest pod tym względem super zabezpieczone. Żaden inny ośrodek nie chce się tego podejmować, bo logistycznie jest to poważny problem z opieką. Chorzy muszą przyjeżdżać do nas co dwa,

trzy tygodnie, żeby uzupełnić leki. Trzeba przygotować zespół pielęgniarski i lekarski, by sprawnie te pompy uzupełnić, żeby chorzy nie czekali. Oni często mieszkają daleko od stolicy województwa. Karetka musi ich przywieźć do nas, a następnie odwieźć do domu.

Muszę też wspomnieć o doktorze Wiesławie Liczbiku, który od dwudziestu lat zajmuje się operacyjnym leczeniem nowotworów przysadki przez nos, co jest najbardziej nowoczesnym sposobem leczenia. Chorzy mogą otrzymać pomoc tu na miejscu.

Prawą ręką pana profesora jest doktor Wojciech Wasilewski...

To doskonały neurochirurg, specjalizujący się w nowotworach, w chorobach naczyńowych głowy i kręgosłupa. Potrafi wykorzystać wszystkie zdobycze współczesnej wiedzy, żeby je wdrożyć szybko do codziennej praktyki. Specjalizuje się w leczeniu endoskopowym, chociażby wodogłowia dziecięcego i guzów śródkomorowych.

A inne „asy” w pana zespole?

W chorobach kręgosłupa specjalizuje się również dr n. med. Piotr Budziński. Trzy lata pracował w Niemczech, a od czasu jak wrócił, zajmuje się leczeniem różnych schorzeń, które wymagają intensywnej opieki anestezyjologicznej. Przenosimy też jego doświadczenia organizacyjne na grunt polski, do naszego oddziału. Kolejnym „asem” jest z pewnością dr n. med. Stanisław Adamski – młody neurochirurg, ale już doświadczony i cieszący się międzynarodowym uznaniem, bo jest szefem AO-Spine w Polsce, największej na świecie organizacji skupiającej od ponad 50 lat najwybitniejszych ortopedów i neurochirurgów zajmujących się kręgosłupem. To największy autorytet w zakresie schorzeń kręgosłupa. Aby się do niego dostać, trzeba spełnić wyśrubowane warunki. To ważne dla naszych pacjentów, bo nasze wyniki leczenia nie odbiegają od najlepszych ośrodków światowych. Również dr n. med. Beata

Szopa wprowadza wszystkie nowinki anestezyjologiczne, bo w neurochirurgii nie tylko się zmienia sposób operowania, ale również sposób znieczulania pacjenta. W tej chwili co rusz słyszymy, że ktoś chorego wybudził, zrobił operację na przytomnym chorym, a my tę operację robimy rutynowo już ponad 15 lat. A czasem właśnie trzeba pacjenta w czasie operacji (najczęściej guza mózgu) obudzić, by porozmawiać z anestezyjologiem czy z neuropsychologiem. A my, operatorzy, tym sposobem sprawdzamy, czy u chorego nie dochodzi do zaburzeń mowy, zaburzeń ruchów.

To jakieś science fiction. Urywki filmu „Iluminacja”, który takie sceny zawiera, pokazywałem na zjeździe neurochirurgicznym. Takie operacje z wybudzaniem chorego wykonywano kiedyś, jak metody anestezyjologiczne były złe, czy nie pozwalały na bezpieczne znieczulenie w trakcie przeprowadzanej operacji.

Oddział jest dobrze wyposażony w aparaturę medyczną? Na co dzień korzystamy ze śródoperacyjnej tomografii komputerowej i nawigacji wspomaganej neurofizjologią kliniczną. Neurofizjologia w sposób rzeczowy określa stan neurologiczny pacjenta.

Zależy nam, by w trakcie operacji nie dochodziło do uszkodzeń neurologicznych, które są najczęściej nieodwracalne. Dzięki neurofizjologii ci chorzy nie muszą leżeć w szpitalu 2-3 tygodnie i mogą opuścić szpital już po dwóch dniach. Mamy też takie aparaty jak noże ultradźwiękowe czy kamery potrafiące obrazować pole operacyjne trójwymiarowo – egzokopy. To pozwala na bardziej precyzyjne operowanie.

Ilu pacjentów operujecie rocznie?

Ponad 1500, chociaż możliwości mamy o wiele większe, ale brakuje pieniędzy. Mimo że w naszym województwie są trzy oddziały i wszystkie są świetnie wyposażone, poziom finansowania jest poniżej średniej krajowej przypadającej na głowę mieszkańca. A trzeba pamiętać, że każdy oddział ma tomograf komputerowy, dysponuje neuronawigacją śródoperacyjną i posiada rezonans. Czyli możliwości mamy.

A jakich operacji najwięcej robicie?

W tej chwili specjalizujemy się w operacjach nowotworowych mózgu i rdzenia kręgosłupa, bo takich przypadków jest epidemiologicznie najwięcej. Mamy również sprzęt, który jest dedykowany właśnie do takich

NASZ ODDZIAŁ ZAJMUJE SIĘ PACJENTAMI, KTÓRYCH NIKT NIE CHCE LECZYĆ, GŁÓWNIEMIE DZIEĆMI ORAZ CHORYMI PO CIĘŻKICH URAZACH ZE SPASTYCZNOŚCIĄ

bardzo trudnych operacji, których często nikt się nie chce podejmować. Przyjeżdżają do nas chorzy z całej Polski, żeby ich u nas operować.

Moja filozofia jako szefa jest taka, żebyśmy operowali przede wszystkim chorych z Pomorza, a nie brali ich z zewnątrz, bo Fundusz za nich i tak nie zapłaci.

Czy są kolejki u was na operacje?

Niestety są, na niektóre operacje trzeba czekać nawet pięć lat, a jest to związane chociażby z polityką państwa, bo w tej chwili każdy mówi o chorobach serca, chorobach nowotworowych, a zapomina się o schorzeniach ludzi młodych. Kręgosłup dotyczy ludzi młodych. Średnia wieku oczekujących na procedury związane z chorobami kręgosłupa wynosi 40 lat. Pacjenci przechodzą na renty, utrzymywani są na świadczeniach sygnowanych przez państwo, a po naszych operacjach, zwłaszcza

na kręgosłupie, 70 proc. chorych ludzi może i powinno wrócić w ciągu miesiąca do pracy. Ale widocznie jesteśmy tak bogatym społeczeństwem, że nas na to stać.

A co zmieniło się w neurochirurgii w ciągu tych dwudziestu lat?

Niewątpliwie nastąpiła poprawa opieki śródoperacyjnej. Udało się nam też wprowadzić i wykształcić dwóch doskonałych neurofizjologów: dr. Krzysztofa Dziędziela i dr. Łukasza Dylewicza, którzy „kontrolują” nasze kroki na sali operacyjnej. Jeżeli neurochirurg jest zbyt odważny, to mówią; słuchajcie, tutaj możecie uszkodzić coś ważnego w mózgu czy w rdzeniu. Co później się przejawia niedowładem, a nawet paraliżem. I to jest takie operowanie, gdzie ten obraz nawigacyjny nakłada się na ten obraz funkcjonalny mózgu, rdzenia i nerwów. I możemy tak operować, żeby nie uszkodzić tych bardzo waż-

nych struktur. Teraz mamy też dodatkowe urządzenie oparte na działaniu pola magnetycznego, gdzie mapujemy ośrodki mózgowe i potrafimy to nałożyć na obraz rezonansu magnetycznego i zaplanować taką operację.

Ale wciąż jeszcze są takie obszary w mózgu, że nie możecie operować?

Takich sytuacji jest coraz mniej. Jeżeli nie możemy operować chorego, to musimy mu pobrać wycinek. Organizujemy wówczas konsylium z neuropatologiem, z onkologiem i szukamy najbardziej optymalnego rozwiązania dla pacjenta.

Jednak wciąż organizowane są zbiórki na operacje za granicą...

Jak słyszę o tym operowaniu w ośrodku zagranicznym, to mi się scyzoryk w kieszeni otwiera. Operacja kardiologiczna dziecka kosztuje dwa miliony dolarów. A za te dwa miliony dolarów można wziąć pięciu młodych kardiochirurgów, wysłać ich na szkolenie do Stanów, opłacić im najbardziej wypasiony hotel i tam ich przeszkolić nawet na pół roku. Tak zrobili Czesi. Zaraz po transformacji wysłali swoich lekarzy na szkolenie do Anglii, do Stanów i do Niemiec. I oni wrócili i operują takich chorych u siebie.

U nas też lekarze wracają ze staży w renomowanych ośrodkach za granicą, ze stypendium i muszą szukać sobie pracy, bo w miejscu, z którego wyjechali, rządzi już nowy ordynator, dla którego mogą oni być konkurencją.

To absurd, że właśnie takie osoby, które mają zdobyte za granicą doświadczenie, po powrocie do kraju muszą szukać pracy. To czysta paranoja. Te rozwiązania nie są akceptowalne, bo szpitalami zarządzają często osoby, które nie mają pojęcia, jak wygląda nowoczesny szpital. A wystarczy pojechać do Berlina, Rostocku czy Amsterdamu i popatrzeć.

Na Pomorzu w dalszym ciągu brakuje łóżek neurochirurgicznych?

W przeliczeniu powinno być około 100 łóżek neurochirurgicznych na 2 miliony mieszkańców oraz 10 sal operacyjnych, by zapewnić mieszkańcom bezpieczeństwo. Tymczasem w województwie jest w tej chwili 5 sal operacyjnych i brakuje 48 łóżek.

To chyba trzeba stworzyć jeszcze jeden oddział...

Najlepiej, by taki oddział powstał w Szpitalu na Zaspie. Wygląda na to, że samorząd województwa po ostatnich radach, zebraniach potraktuje ten projekt jako priorytet.

REKLAMA

0011271391

SANATORIUM MIŁOŚCI

niedziela 21:20

TVP 1 **TVP VOD**

BYŁY TAŃCE I ROZPUSTA W JEDZENIU!

Zapusty, czyli ostatnie dni karnawału, były na Kaszubach okresem hucznych zabaw, pełnych śpiewów, tańca i suto zastawionych stołów. Dawni mieszkańcy regionu z niecierpliwością czekali na ten wyjątkowy czas, by przed nadchodzącym Wielkim Postem oddać się radosnym spotkaniom i tradycyjnym zwyczajom. Karczmy tętniły życiem, a na wiejskich drogach można było spotkać wędrowne grupy przebierańców, które chodziły od domu do domu, wzbudzając śmiech i podziw mieszkańców

Edyta Łosińska-Okoniewska

**O dawnych zapustnych ob-
rzędach i kaszubskim podej-
ściu do ostatekowych sza-
leństw rozmawiamy z Mate-
uszem Słomińskim, kurato-
rem w Muzeum - Kaszub-
skim Parku Etnograficznym
im. Teodory i Izzydora Gul-
gowskich we Wdzydzach.**

**Jak dawniej Kaszubi obcho-
dzili karnawał? Czy to pojęcie
w ogóle istniało w tej kulturze?**

Pojęcie karnawału istniało w kulturze kaszubskiej, ale było ono raczej kojarzone z okresem zapustów, które traktowano jako okres rozpusty w jedzeniu, tańców i biesiad. Termin ich rozpoczęcia nie jest taki jednoznaczny, ale z pewnością miały one miejsce przed nastaniem Wielkiego Postu. Jeżeli chcielibyśmy mówić o zamierzonych tradycjach zapustnych na Kaszubach, to najdalej możemy się cofnąć do XIX i początków XX wieku. Nie ma dużo źródeł etnograficznych, ale można wymienić kilka zwyczajów zapustnych, które były charakterystyczne dla regionu i polegały głównie na rozpucie w jedzeniu. W związku z tym pieczono głównie placki czy też pączki. Piszę o tym Bożena Stelmachowska w wydanej w roku 1933 książce „Rok obrzędowy na Pomorzu”: „Tak na przykład w okolicach Wejherowa, we wszystkich domach wypiekają pączki i to przede wszystkim w niedzielę zapustną. W poniedziałek pieką placki z pszennej mąki, a we wtorek placki z mąki i kartofli. Niekiedy, jak np. w Rekowie, zamiast placków są plince, a pączki nazywają pomelkami”.

W innych regionach Kaszub popularne były także ruchanki. Poza tłustymi wypiekami na stole pojawiała się mięso,

w Dziemianach mawiano: „Na zapusty, kurak tłusty”. Czyli, jak nietrudno zauważyć, wszystkie dania były zwyczajnie tłuste.

A czy Kaszubi w ogóle lubili zabawę? A może była to raczej społeczność „smutna” ze względu na niełatwą historię?

Ludność kaszubska lubiła się bawić, tak jak w innych regionach Polski. W przypadku karnawału były to różnego rodzaju zabawy, które - jak zauważyli niektórzy badacze - powoli zanikały w pierwszej połowie XX wieku. Jednakże historia nie ma tutaj raczej nic do tego, ja bym nie dorabiał do tego jakiejś martyrologii.

**W takim razie, z jakich rozry-
wek najczęściej korzystali?**

Poza rozpustą w jedzeniu, drugim sposobem zabawy były tańce. Tak na przykład w dawnym powiecie morskim w okresie zapustnym rybacy: „Zajmują się tam »stelowaniem laskomów«, czyli zestawianiem niewodu na połów łososi. Pracują do wtorku, a gdy niewód jest złożony, przywiązują sieć do sufitu i huśtają się na niej. Ma to przynieść dobry połów łososi. Tańczą też naokoło niewodu i śpiewają. Do tańców ulubionych należą: walc, polka i nadreńczyk. Mają też własny taniec „wiwat”. Tańczą go z kuflem piwa w rękę, zważając przytem, aby piwo nie rozlało się. Osoby tańczące skaczą w miejscu na pewną odległość od siebie, to znów zbliżają się, podskakując, następnie cofają się - zmieniając pozycję tak, aby zawsze naprzeciw tancerki znalazł się mężczyzna, przyczem danser idzie śladem swej partnerki”, jak podaje Bożena Stelmachowska. Ciekawy zwyczaj



Zima w Kaszubskim Parku Etnograficznym im. Teodory i Izzydora Gulgowskich



Wnętrze jednego z domostw stojących na terenie Parku Etnograficznego

występował nad Jeziorem Raduńskim, gdzie: „...chodzono dawniej także z zapustnym konikiem. Również i w Polsce chodzi się wówczas z takim konikiem, zwłaszcza nad Narwią. Zwyczaj ludowy zaleca w zapusty tańce, bo inaczej len nie rośnie. W tańcu tym gospodynie skaczą wysoko, aby len urósł, a gospodarze, aby zboże wyrosło piękne” (Adam Fischer). Poza tym powszechny był zwyczaj chodzenia po domach maszkar, które nazywano gdzieniegdzie „chodzeniem po plackach”. Maszki składały się przede wszystkim z kozłów, niedźwiedzi, „dzia-dów” i „bab”, które chodząc po domach prosiły o podarunki w postaci żywności (w tym głównie placków) lub pieniędzy. Zabawy zapustne miały też na celu zapewnienie dobrej vegetacji w nowym roku. Dlatego skakano wysoko podczas tańców, by len i zboże wysoko i bujnie rosło.

**Czy któreś z tych obyczajów
przetwały do czasów współ-
czesnych?**

Do dzisiejszych czasów praktycznie nic nie przetrwało. Jak wspominałem wcześniej, już badacze XX-wieczni zauważyli, że tradycje zapustowe zanikały. Można zauważyć pewną ewolucję i może nawet unifikację tradycji. Z pewnością pieczenie pączków, plinców czy ruchanek jest jedną z tradycji, które przetrwały. Natomiast tańce, jak i sposób zabawy, zmieniły się całkowicie. Dzisiaj świętujemy w sposób bardziej „zachodni”, jak np. bale przebierańców i inne imprezy karnawałowe.

**Chciałabym zapytać także o to,
czy Kaszubi chętnie się inte-
growali, czy raczej spędzali
czas w wąskim gronie?**

Zabawy zapustne i inne zabawy w pozostałe święta były istotne dla integracji społeczności lokalnej. Zabawy, w tym tańce, czy też wspólne spożywanie posiłków jest ważne dla utrzymania poczucia wspólnoty. Jest zauważalne w każdej kulturze na świecie, więc i Kaszubi nie byłby wyjątkiem.

*DO TAŃCÓW ULUBIONYCH NALE-
ŻĄ: WALC, POLKA I NADREŃ-
CZYK. MAJĄ TEŻ WŁASNY TANIEC
„WIIWAT”. TAŃCZĄ GO Z KUFLEM
PIWA W RĘKU*

GSK

PÓŁPASIEC TO NIE TYLKO WYSYPKA...¹



KAŻDY, kto przechorował ospę wietrzną, **NOSI W SOBIE UŚPIONEGO WIRUSA** powodującego **PÓŁPASIEC**.¹



Półpaścowi może towarzyszyć **DOTKLIWY BÓL**, mogący utrzymywać się przez **WIELE MIESIĘCY A NAWET LAT**.³

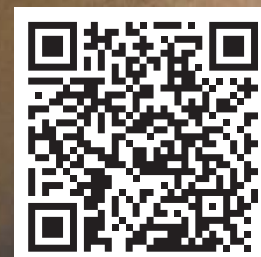


RYZYKO zachorowania na półpasiec gwałtownie **WZRASTA PO 50. ROKU ŻYCIA**.²



Na **PÓŁPASIEC** można zachorować **KILKUKROTNIE**.²

Poznaj czynniki ryzyka
rozwoju półpaśca



ZAPYTAJ LEKARZA O SZCZEPIENIE

PÓŁPASIEC  **stop**

Dowiedz się więcej na:
www.POLPASIECstop.pl

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej oraz zastąpić konsultacji z lekarzem, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia. Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać Departamentowi Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel.: + 48 22 49 21 301, faks: + 48 22 49 21 309, zgodnie z zasadami monitorowania bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu www.urpl.gov.pl lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego dotyczy zgłoszenie. GSK Commercial Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 53, 02-697 Warszawa, tel: 22 576 90 00, fax: 22 576 90 01, pl.gskc.com

1. Harpaz R i wsp. MMWR Recomm Rep 2008;57:1-30; 2. E. Kuchar; Półpasiec, <https://www.mp.pl/pacjent/choroby-zakazne/choroby/zakazenia-wirusowe/158210,polpasiec> (dostęp: sierpień 2024) Dd; 3. Curran D i wsp. J Gerontol A Biol Sci Med Sci 2019;74:1231-1238.

NP-PL-HZU-PSTR-240001, sierpień 2024

To był w ostatnim czasie jeden z najbardziej komentowanych postów na Facebooku, które umieściły na swoich profilach gmina Starogard Gdański oraz Grodzisko Owidz. Chodzi o oświadczenie wójta gminy - Artura Osowskiego, dotyczące konkursu na stanowisko dyrektora Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu Grodzisko Owidz.

Kociewska marka

Grodzisko Owidz stało się rozpoznawalną marką nie tylko na Kociewiu, ale także i w całej Polsce. Znajdująca się tu największa na Pomorzu rekonstrukcja wczesnośredniowiecznego grodu oraz jedyne w Europie Muzeum Mitologii Słowiańskiej, stanowią przyczynek do wielu ciekawych działań edukacyjnych, kulturalnych czy rekreacyjnych, które odbywają się przez cały rok.

Odwiedzający tę placówkę podkreślają jednogłośnie, że do tych zmian doszło dzięki Magdalenie Zatorskiej, która przez niemal 11 lat budowała ze swoim zespołem to miejsce niemal od podstaw. Jej poprzednik piastował to stanowisko zaledwie dwa lata i nie odniósł tak spektakularnych sukcesów - imprezy nie przyciągały turystów, ani nie wpisały się na stałe do kalendarza wydarzeń.

- Z Grodziskiem Owidz współpracuję już kilka lat i ta współpraca była zawsze na najwyższym poziomie - podkreśla Ewa Rogala. - Jestem wykładowcą akademickim oraz edukatorem z dziedziny roślin leczniczych, wykładam na uczelniach wyższych oraz w jednostkach edukacyjnych na terenie całej Polski, więc można przyjąć, że mam bardzo duży materiał porównawczy w kwestii współpracy z podmiotami edukacyjnymi. Nigdzie - powtarzam, nigdzie nie spotkałam się z tak dobrze zorganizowaną i prężnie działającą instytucją, jak Grodzisko Owidz. Miałam przyjemność poznać cały zespół pracowników grodu i podziwiałam panującą tam atmosferę dobrze funkcjonującej rodziny pasjonatów. Do tak intensywnego, a zarazem trzymającego poziom, rozwoju działań zespołu, należy stworzyć motywujące warunki, żeby się ludziom - kolokwialnie mówiąc - chciało działać poza schematami. I tutaj największe ukłony należą się obecnej dyrektorki Grodziska Owidz Magdalenie Zatorskiej, która jest matką ogromnego sukcesu tej instytucji edukacyjnej. Magdalena, dała się poznać jako człowiek sumienny, zorganizowany oraz niezwykle oddany swojej pracy. Nie znam nikogo, kto miałby na temat Magdaleny Zatorskiej inne zdanie. Liczne imprezy tematyczne, organizowane w ramach działalności Grodziska Owidz co roku



Jedno z wydarzeń, które zorganizowano w Grodzisku Owidz

ODCHODZI PANI NA GRODZISKU

Magdalena Zatorska nie będzie już dyrektorką Grodziska Owidz. Ta informacja wywołała poruszenie wśród miłośników kultury, którzy nie mogą się pogodzić z nadchodzącą zmianą

Kinga Furtak

przyciągają nie tylko coraz więcej ludzi, ale stworzyły też żywą społeczność stałych bywalców. Osobiście nie wyobrażam sobie sierpnia bez wizyty w Owidzu, tak samo jak nie wyobrażam sobie Grodziska Owidz bez Magdaleny Zatorskiej.

Koniec pewnej epoki

W podobnym tonie utrzymane są komentarze od ludzi z całej Polski. Wszyscy doceniają pracę dyrektorki, jej zaangażowanie, pasję w tworzenie tej instytucji. Bo GOKSiR to nie tylko kulturalne wydarzenia w Grodzisku Owidz, ale także imprezy sportowe oraz liczne wydarzenia w świetlicach wiejskich

należących do gminy Starogard Gdański. Sukcesem okazała się także organizacja dożynek wojewódzkich w minionym roku. Ponadto po ponad 50 latach, wędrujący festiwal Bazuna na swoje stałe miejsce wybrał Grodzisko Owidz.

„Niewątpliwie kończy się pewna epoka - napisał na Fa-

cebooku Radosław Sawicki, kierownik Muzeum Mitologii Słowiańskiej. - Dla Grodziska Owidz, gdzie od ponad ośmiu lat pracuję kierując Muzeum Mitologii Słowiańskiej, oraz dla mnie osobiście. Z końcem kwietnia funkcję dyrektorki naszego owidzkiego przybytku - po 10 latach dobrego zarządza-

nia - przestanie pełnić Magdalena Zatorska. Wójt Gminy Starogard Gdański ogłosił konkurs na stanowisko szefa lub szefowej Gminnego Ośrodka Kultury i Sportu Grodzisko Owidz. Magdalena, co nieraz już z wdzięcznością wspominałem na tym profilu, w grudniu 2016 roku wysłuchała mojej półtoragodzinnego natchnionej opowieści i przyjęła propozycję powołania w Owidzu wspomnianego wyżej Muzeum Mitologii Słowiańskiej. Zaufała mi, udało się i muzeum działa z sukcesami do dziś. Ale to nie jedyna rzecz, za którą jestem Magdalenie wdzięczny. Nigdy przedtem, a mam swoje lata, nie pracowałem w tak inkluzywnym środo-

wisku pracy. Tutaj wszystkie pomysły miały szansę się ziścić. I wiele się ziściło - z korzyścią dla odwiedzających nas gości i marki Grodziska Owidz. Dzięki, Magdalena. Twój następca będzie miał cholernie trudno, aby utrzymać tak wysoko poprzeczkę” - podsumowuje Sawicki.

Spokój jest najważniejszy

Internauci zastanawiają się - co się stało, że pomimo tylu sukcesów dyrektorka przestanie niebawem pełnić funkcję szefowej placówki. Magdalena Zatorska nie chce komentować całej sprawy. Podkreśla, że spokój jest najważniejszy.

Wśród internautów pojawiły się spekulacje, że rezygnacja dyrektorki jest związana ze zmianą władzy w gminie. Pojawiły się także przypuszczenia, kto będzie kierował placówką - padło nazwisko Łukasza Ročławskiego, który jest menadżerem kultury w Starogardzkim Centrum Kultury. Komentarz ten jednak został usunięty. Nowy dyrektor lub dyrektorka zostanie wyłoniona w drodze konkursu, który ogłosił wójt gminy. Dokumenty można składać do 20 marca. Nowy dyrektor lub dyrektorka ma rozpocząć pracę od maja br.

Jak tłumaczy wójt, to dyrektorka podjęła decyzję o rozwiązaniu umowy. Czy gmina oczekuje wprowadzenia nowych zmian? Nie boi się, że wytworzona marka może upaść?

- Nie widzę takiego zagrożenia, ponieważ nie planujemy istotnych zmian w charakterze działalności Grodziska - zapewnia Artur Osowski, wójt gminy Starogard Gdański. - Wszystkie dotychczasowe wydarzenia i imprezy będą kontynuowane, a ich wysoki poziom zostanie utrzymany. Chciałbym jednak, aby w Grodzisku pojawiło się jeszcze więcej atrakcji i wydarzeń skierowanych do mieszkańców gminy Starogard Gdański. Już w tym roku planujemy wprowadzenie na stałe Dni Gminy - wydarzenia pełnego atrakcji dla dzieci i młodzieży. Nie zabraknie także bogatej oferty muzycznej, w tym koncertów znanych artystów. Nadmieniam, że zawarłem porozumienie z organizatorami Bazuny, które przewiduje, że to właśnie Grodzisko będzie na stałe ten festiwal. W kolejnych latach Grodzisko wzbogaci się o nowe wydarzenia, których kształt będzie zależał od nowego dyrektora i jego zespołu. Jestem przekonany, że zarówno mieszkańcy gminy, jak i całego Kociewia znajdą powody, by odwiedzać to wyjątkowe miejsce.

Jak zapewnia wójt gminy, w tym roku odbędą się także wszystkie wydarzenia związane z dawną słowiańszczyzną, które od wielu lat obywają się cyklicznie.

Ania przyjechała spoza województwa kujawsko-pomorskiego do znajomej w Grudziądzu. W odwiedziny. Razem miały iść do monopolowego po prowiant, czyli wódkę i piwa. Ponoć kupiły je za rentę Ani i wróciły do mieszkania Darii. Kilka godzin później libacja z udziałem m.in. obu pań trwała w najlepsze. O tym, co tam się stało, usłyszeli (i zobaczyli) ludzie z całej Polski.

- 39-letnia Daria (najpierw mówiono, że ma 40 lat), do której przyjechała Ania, lubi alkohol i narkotyki, no i zabawić się lubi - usłyszeliśmy od naszej informatorki. - Ania jest niepełnosprawna. Cierpi na porażenie mózgowie. Przydzielono jej opiekuna, ale jest w miarę samodzielna, przykładowo: sama może jeździć pociągiem czy autobusem. Daria nie ma stałej pracy. Ma dzieci, ale one z nią nie mieszkają. U niej jednak rzadko kiedy było pusto, bo ekipa od kieliszka tam się regularnie zbierała. Daria bywała agresywna, np. na ulicy biła się z innymi kobietami.

Blondynka w dżinsach

Tym razem, czyli w grudniowy wieczór, też zaatakowała kobietę, ale nie na dworze, tylko w swoim mieszkaniu. Filmik, przedstawiający bulwersujące sceny, ukazał się w internecie dwa miesiące później, tzn. w sobotę, 22 lutego 2025 roku. Pojawił się m.in. na lokalnej grupie mieszkańców Grudziądza. Widać na nim, jak szczupła blondynka w dżinsach, właśnie Daria, siada na głowę niepełnosprawnej kobiety (to Ania) i się załatwia. Po wszystkich wstaje zadowolona i zapina spodnie. Nikt z towarzystwa nie reaguje. Jest też druga scenka - jak ta sama blondwłosa kobieta szarpie Anię za włosy, bije ją po twarzy i kopie po ciele, już leżącą na podłodze, nadal w pokoju. Znowu nikt nie pomaga poszkodowanej. Obie sceny zostały nagrane przez wspólną znajomą 27-letniej Ani i Darii.

Kto wrzucił nagranie do netu, nie wiadomo. Trudno ustalić, ponieważ internauci w rekordowym tempie zaczęli je udostępniać. Jedna z wersji jest taka (choć niepotwierdzona przez funkcjonariuszy), że autorka nagrania, też z Grudziądza, na chwilę wstawiła je na Facebooka. Zrobiła to z zemsty, po tym, jak Ania miała ją zdenerwować. Chciała zatem ośmieszyć Anię przed kumpelkami i kumplami, a po chwili skasować video. Nie przewidziała, że ktoś z jej grona ten filmik ściągnie, a później opublikuje go na forum.

Tego dnia, gdy film trafił do sieci, policja zajęła się

NIEPEŁNOSPRAWNA ANIA ODARTA Z GODNOŚCI. JEJ OPRAWCZYNI SIĘ UŚMIECHA

27-latka przyjechała do 39-latki do Grudziądza. Razem piły i w towarzystwie się bawiły. Podczas libacji starsza załatwiła się na młodszą. Jeszcze ją pobiła. O zdarzeniu z końca 2024 roku może nikt więcej by nie wiedział, gdyby nie filmik, który pojawił się w internecie tydzień temu, 22 lutego

Katarzyna Piojda

sprawą. Nie wpłynęło żadne zawiadomienie, lecz kryminalni też go zobaczyli, więc zadziałali. Dwie osoby zostały zatrzymane jeszcze w sobotę niecałą godzinę od momentu, gdy mundurowi zobaczyli nagranie. - Jedną zatrzymaną jest kobieta, która zaatakowała panią, a drugą zatrzymaną jest kobieta, co do której podejrzewa się, że nagrywała filmik - powiedział nam krótko po tym asp. Łukasz Kowalczyk, rzecznik policji w Grudziądzu. - 39-letnia agresorka oraz jej koleżanka przebywają obecnie w pomieszczeniu dla osób zatrzymanych.

Nikt nie wiedział, gdzie podziewa się Ania. Wtedy, w grudniu, nie powiadomiła policji. Gdy z kolei filmik ukazał się w necie, nie zareagowała natychmiast. Dopiero na- zajutrz zgłosiła się na policję. To po tym, jak służby zaczęły jej szukać. Siostra Ani apelowała na Facebooku, żeby internauci pomogli ją odnaleźć. Ania złożyła wniosek o ściganie sprawcy kierowania gróźb karalnych. Przysłała jednak podczas przesłuchania, że nie czuje się zagrożona.

Oko za oko

Wiele osób myślało, że Daria trafi do aresztu, później na długo do więzienia. „Niech jakiś ochotnik robi na głowę tej skandalistki to, co ona zrobiła niepełnosprawnej koleżance. Najlepiej na rynku, w centrum miasta, przy publiczności. I niech oczywiście nagrania z tego będzie można oglądać w internecie” - wskazywali niektórzy.

Były również tego rodzaju komentarze: „Oby koleżaneczki z celi, w której wyłduje Daria, wiedziały, co to za jedna i odpowiednio nią się zajęły”.

Tymczasem oprawczynie wyszła na wolność w poniedziałek, 24 lutego. - Decyzją prokuratury wobec 39-latki zastosowano dozór policyjny, za-



Ci, którzy widzieli filmiki z libacji w Grudziądzu, są wstrząśnięci tym zdarzeniem i, komentując je, oczekują surowej kary dla sprawczynie przemocy

kaz zbliżania się i kontaktowania z pokrzywdzoną oraz poręczenie majątkowe w kwocie 1500 złotych - poinformowała Komenda Wojewódzka Policji w Bydgoszczy.

Takie prawo

Za groźby karalne Kodeks karny przewiduje do trzech lat więzienia. Uszkodzenie ciała trwające nie dłużej niż siedem dni (takie stwierdzono u Ani) zagrożone jest karą pozbawienia wolności dwóch lat, a znie-

ważenie karą ograniczenia wolności, a nawet tylko grzywną.

Działanie prokuratury, która pozwoliła Darii wrócić do domu, oburzyło opinię publiczną. „Można kogoś poniżyć przed całą Polską i pobić i iść za to na dwa dni za kratki! W takich chwilach człowiek traci wiarę w sprawiedliwość” - dało się słyszeć głosy. „Ta blondyna nie wykazała ani grama skruchy. Na zdjęciach z doprowadzenia do prokura-

tury widać, jak się beczelnie uśmiecha”.

Przedstawiciele prokuratury uzasadniali swój ruch.

- Prokurator decyduje, jakie środki są konieczne dla zabezpieczenia prawidłowego przebiegu postępowania - wypowiedziała się na początku bieżącego tygodnia prokurator Magdalena Chodyna z Prokuratury Rejonowej w Grudziądzu. - W tym przypadku, na tym etapie postępowania, nic nie wskazuje, żeby wobec podejrzanej musiały zostać zastosowane środki o charakterze izolacyjnym. Prokurator nie może wnioskować o środki izolacyjne w sytuacji, gdy wystarczające są środki wolnościowe.

W poniedziałkowy wieczór przed kamienicą, w jakiej mieszka Daria, zebrało się kilkadziesiąt osób. Krzyczeli do niej i jej grozili, chociaż nie wiadomo było, czy ona była w środku. Policjanci z sześciu radiowozów pilnowali porządku. Nie chcieli dopuścić do tego, żeby Darii stała się krzywdą. W internecie ukazały się filmy i zdjęcia policyjnych aut. „Policja pilnuje kata, a nie ofiary!” - komentowali mieszkańcy.

Poniżenie i przemoc

Podobne sytuacje się zdarzały. Pracownica ośrodka pomocy społecznej w Bydgoszczy wspomina: - Pewna sąsiadka z bloku opiekowała się drugą sąsiadką, częściowo niepełnosprawną ruchowo. Razem też piły, a jak piły, to szybko się biły albo kłóciły. Raz ta opiekunka przywiązała podopieczną bandażami do grzejnika i wyszła. Okazało się, że poszła po flaszkę, a nie chciała, żeby w czasie jej nieobecności tamta wypila resztę wódki, którą razem rozpoczęły. Podopieczna krzyczała tak głośno, że sąsiad z domu usłyszał. Wbiegł do otwartego mieszkania i oswobodził oban-

dażowaną. Wróciła opiekunka i obie zaatakowały go mopem i przenośną drabiną. Były złe, że zainterweniował.

Przypadek spod Torunia: samotny schorowany mężczyzna mieszkał w gminnym budynku. Oprócz niego były trzy rodziny. Wszyscy mieli problem z uzależnieniem od picia. Każda familia zajmowała osobny lokal socjalny, ale ubikacja była wspólna. Drzwi do WC były zniszczone, nie dało się ich zamknąć na zamek. Gdy mężczyzna wchodził do toalety i siadał na sedes, inni sąsiedzi albo ich dorosłe dzieci otwierały drzwi i wyrzucały z WC papier toaletowy. Robiły panu fotki komórkami i przysyłały SMS-ami do znajomych. To były czasy, kiedy internet nie był powszechny, jak dziś.

Ofiary poniżania często nie zgłaszają się na policję. Ich brak reakcji wiąże się ze środowiskiem, z którego pochodzą. - W środowiskach dotkniętych przemocą od pokoleń może ona uchodzić za coś normalnego - podkreślają autorzy „Ogólnopolskiej diagnozy zjawiska przemocy”, przygotowanej przez Kantar Polska dla Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. - W takich sytuacjach część osób doznających przemocy nie zgłasza się po pomoc, bo też ani nie widzi takiej potrzeby, ani nie dostrzega sensu w takim działaniu. Taki człowiek, zapytany o to, czy jest osobą doznającą przemocy w rodzinie, może też zaprzeczyć i być w pełni przekonany, że tak właśnie jest. Inne osoby, doświadczające przemocy w rodzinie, są świadome swojej sytuacji, ale przez poczucie wstydu albo przekonanie o nieuchronności swego losu, nie proszą o pomoc.

Skradziona biżuteria

Nie trzeba szukać pamięcią do odległych czasów, żeby podać następny przykład strat (niekoniecznie fizycznych), poniesionych przez ofiarę, która zna krzywdziciela. Niefortunnych znajomych do biśiadowania wybrał sobie mieszkaniec Kraśnika w województwie lubelskim. - Kiedy obudził się rano po zakończonej libacji, zauważył, że w mieszkaniu nie ma ani współbiedników, ani kosztowności wartych ponad 26 tysięcy - przekazał w tym tygodniu aspirant Paweł Cieliczko z Komendy Policji Powiatowej w Kraśniku. - Kryminalni doprowadzili do zatrzymania sprawcy i odzyskania części skradzionych rzeczy. Podejrzanemu 42-letniemu recydywiście grozi do 7,5 roku pozbawienia wolności.

27-letniej Ani nikt nie ukradł żadnej rzeczy podczas libacji w Grudziądzu. Ona została okradziona z godności. ©©

MUZYCZNA PODRÓŻ PRZEZ HISTORIĘ POLSKI W SŁUPSKIM TEATRZE

W Nowym Teatrze im. Witkacego w Słupsku już 15 marca premiera „Niech no tylko zakwitną jabłonie” Agnieszki Osieckiej. Reżyseruje Wojciech Kościelniak, który kilka miesięcy temu w gdyńskim Teatrze Muzycznym zrealizował niezwykle udany musical „Quo vadis” według powieści Henryka Sienkiewicza z muzyką Mariusza Obijalskiego

Grażyna Antoniewicz

Wojciech Kościelniak, aktor, pedagog i reżyser, od lat związany jest z Gdynią. Tu debiutował jako reżyser musicalu „Hair”. Tu wyreżyserował tak wybitne spektakle jak trans-opera „Sen nocny letniej”, „Wiedźmin”, „Chłopi”, „Zły” i inne, a „Lalka” która premierę miała 15 lat temu, nominowana była do Paszportu „Polityki”. Dziś rozmawiamy z nim o najnowszej, słupskiej realizacji.

Już po raz czwarty reżyseruje pan „Niech no tylko zakwitną jabłonie”. Czy nie obawia się pan, że ktoś będzie marudził, że to kolejna, zapewne taka sama wersja?

Nie będzie taka sama. Przede wszystkim jest to nowe spojrzenie na ten tekst. Poprzednie spektakle, które reżyserowałem, w większym stopniu kłaniały się takiej muzyce, jaka była kiedyś. Czyli zastosowane tam były takie wzorce muzyczne, jakie panowały, czy to w okresie międzywojennym, czy to później po wojnie, ale szczerze powiem, to nie jest moja muzyka. Natomiast, przy niewielkich chyba zabiegach uwspółcześniających, okazało się, że te piosenki mogą brzmieć jakby były dzisiaj pisane i przez to natomiast zaczynają mówić do widza: „Te problemy, które poruszamy, to są dzisiaj wasze problemy, a nie obce, przeżywane kiedyś tam”.

Przedstawienie to opowiedziane piosenkami przed- i powojenna historia Polski, do lat 50. włącznie, ale nie tylko...

Ja mam wrażenie, że nasza rzeczywistość tak nieprawdopodobnie odbija się jak w krzywych zwierciadłach, w tym co jest zawarte w „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, że jest to aż przerażające. Mamy zachłyśnięcie się kapitalizmem, tak jak po osiemnastym roku - to jest w reklamach zawarte, są nierówności społeczne, czasami jakiegoś zamyślenia do tan-dety, działanie na proste emo-



Wojciech Kościelniak deklaruje, że będzie to nowe spojrzenie na tekst Osieckiej



Teatr muzyczny jest medium wielowarstwowym, tak jak i nasza rzeczywistość



Przedstawienie to opowiedziane piosenkami przed- i powojenna historia Polski

cje. Ale też po wojnie mamy wielkie przemiany społeczne, mierzenia się z totalitaryzmami - boimy się, że wojna może przyjść, albo już w jakiś sposób ją poznaliśmy. Bardzo wiele tego typu tematów współczesnych jest w tym materiale, dlatego postanowiliśmy warstwę muzyczną przenieść do dnia dzisiejszego.

Udało się panu przywrócić nieobecną przez lata modę na polskie spektakle muzyczne. Mówi się Wojciech Kościelniak to rewolucjonista, eksperymentator, mistrz musicalu, kim pan się czuje bardziej?

Ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Czy jestem rewolucjonistą? Być może bywały, odważne rozwiązania w moich spektaklach, ale nie w każdym przedstawieniu. To się zdarzało, ale to nie jest tak, że mam naturę rewolucjonisty. Tylko po prostu, był taki czas, że teatr muzyczny w Polsce szedł utartymi ścieżkami, istniała operetka, istniała piosenka aktorska, w niewielkim stopniu musical, głównie amerykański. Śpiewogry oczywiście, były czego przykładem są „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, ale istniało bardzo duże pole do zagospodarowania takiego teatru muzycznego, który czerpie ze zdobyczy teatru dramatycznego. Ja się wychowałem trochę na teatrze dramatycznym.

Jest pan aktorem...

Tak, miałem przyjemność współpracy z wybitnymi reżyserami i podpatrywania ich w robocie. A z drugiej strony, nie ma co kłamać, ja bardzo cenię sobie to wszystko co jest dobrą rozrywką. Mam wrażenie, że na styku tych pozornie wykluczających się wartości można było dużo znaleźć.

Krytycy pisali: „Wojciech Kościelniak pokazał, że gatunek ten może być czymś więcej niż bląhą rozrywką opierającą się o niewyszukane libretto

i kilka utworów muzycznych, w tym obowiązkowo jeden dający się zanuć po wyjściu z teatru.

Jeśli ktoś tak postrzega moją pracę jest to oczywiście, jest mi bardzo miło. Czy jestem eksperymentatorem? Zdarza się, bo zawsze jeśli znajdę jakąś warstwę, która mnie ciekawi, a z którą nie spotkałem się dotąd w teatrze to oczywiście, będę próbował to sprawdzić, będę chciał iść w tym kierunku. Natomiast jeśli ktoś mówi, o mnie jako o mistrzu musicalu to na pewno jest to na wyrost. Przy dobrej pracy zdarzają się bardzo udane przedsięwzięcia albo mniej. Natomiast samego w sobie mistrzostwa nie posiada się.

Jest pan artystą, dla którego scenografia, wizja plastyczna jest niesłychanie ważna.

Jak najbardziej, mam wrażenie, że teatr muzyczny jest takim medium bardzo wielowarstwowym, tak jak i nasza rzeczywistość nie jest jednowymiarowa. Zdarza się tak, że kiedy dzieją się w naszym życiu rzeczy tragiczne, to jednocześnie w telewizji leci kreskówka lub coś zabawnego. Jednocześnie sąsiad na górze wali w rurę i nagle nasz ból jest unieważniony przez te okoliczności. To nie jest tak, że jeśli przeżywamy cierpienie, to cały świat nagle zaczyna z nami cierpieć. Tak byśmy chcieli ale tak się nie dzieje, w związku z czym wieloskładnikowość takiego teatru jakim jest teatr muzyczny wydaje mi się, (...) bardzo ciekawa w budowaniu narracji. Dlatego używam tak wielu tych bodźców, bo mam wrażenie, że one pozwalają rozbudzić widza z takiej niewidzialnej zbroi, która nie pozwala dotrzeć do niego głębiej.

Rozbroić z bezpiecznych przyzwyczaję...

Wydaje mi się, że otwieranie się na głębsze i ważniejsze wartości u widowni czasem następuje właśnie wtedy, kiedy jest rozbawiona i po-

chlōnięta fajerwerkami. Jeżeli w takiej sytuacji dotrze do niej treść ważna i nieoczywista – sięgnie celu. To taki kontrpunkt – często coś, na co odbiorca nie był przygotowany. Myślę, że zaskoczenie jest ważnym medium. Oczywiście, to nie jest jedyna technika budowania narracji, bo gdyby cały czas tylko na tym bazować, widz dość szybko by to rozszyfrował i uodpornił się. Ważne jest jakimi środkami posługuje się dobry opowiadacz. Kiedy babcia opowiada wnuczkowi bajkę, jeśli potrafi dobrze opowiadać, to wejdzie on w tą baśń z rozpalonymi uszami, będzie słuchał. To jest podstawa teatru – ktoś opowiada nudno, ktoś opowiada ciekawie. Ja staram się opowiadać ciekawie

Mówią, że jest pan bardzo wymagającym reżyserem, czy aktorzy płaczą na próbach?
Zdarza się, że są łzy, ale ja staram się być uczciwym reżyserem i kiedy widzę, że aktor nie jest na dobrej drodze to bez krzyku, bez poniżania, bez agresji staram się powiedzieć, „to nie ten kierunek, to nie działa”. Są osoby, które są przyzwyczajone do tego, że zawsze były chwalone i wtedy takie uwagi odbierają jako coś bardzo bolesnego – tak się może zdarzyć. Natomiast też jestem uczciwy, jeżeli aktor



FOT. KAMILA RAUF-GUZINSKA

Koncepcja spektaklu musi być od początku znana, żeby było można zainspirować aktorów

gra tak, że zachwyca, mówię; to jest piękne, to mnie zachwyca, to jest coś co mnie porusza. Myślę, że ta uczciwość jest wbrew pozorom trudna. Jeśli się aktorowi powie, że coś nie działa to on jest poruszony i jeśli się mu powie, że było świetnie to też jest poruszony i też nie wie jak sobie z tym poradzić. Myśli, jak to zrobić, żeby jutro też tak było. Staram się być uczciwy. Tylko tyle.

Ślupskie „Jabłonie” wymagają od aktora zarówno umiejętności wokalnych, tanecznych, jak i aktorskich...
Tak, niemalże cały czas jest śpiew, niemalże cały czas jest

choreografia, ruch. Ten spektakl został złożony przez Agnieszkę Osiecką z wycinaków z gazet, reklam, notatek propagandowych, anonsów prasowych, powinszowań kominiarzy, z piosenek drukowanych w gazetach. Gazeta jest spoiwem, który to wszystko łączy,

Czy wizja tego przedstawienia powstaje w trakcie prób, czy ma pan już przygotowaną precyzyjnie koncepcję?
Koncepcja spektaklu musi być od początku znana, żeby było można zainspirować aktorów. Jeśli ich nie zainspirujemy to oni niczego z siebie nie dadzą. Na pierwszym eta-

pie staram się być przygotowany niemalże co do szczegółów i jednocześnie mieć świadomość, że kiedy wejdziemy na scenę, to większość z tych szczegółów trzeba będzie wyrzucić do kosza i większość zrobić od nowa, ale już budujemy na pewnej platformie porozumienia. Moją dewizą jest „być maksymalnie przygotowanym, żeby było nad czym pracować, a później maksymalnie elastycznym, żeby podążać za tym czego chce scena. Nie ja, tylko władczyni – scena”.

Ten spektakl to wersja mini, jeśli chodzi o obsadę...

Proszę spojrzeć, na program „Jabłoni...” które kiedyś były grane w Teatrze Dramatycznym w Gdyni, ile tu jest osób, to była ogromna inscenizacja, a my to robimy w siódmkę, bo takie są warunki, jednak wierzymy, że nam się uda.

Pana pierwsze spotkanie z tym tekstem było w Teatrze Telewizji..
Wtedy gością, który płacił Bogdan Łazuka, postać Pozytywny - Negatywny Konrad Imiela, a Rebeką była Kinga Preiss, była tam też Magda Cielecka. Drugie moje spotkanie to był dyplom studentów w Krakowie, później

było Ateneum, spektakl bardzo podobny do tego, który zrobiłem ze studentami. Krzysztof Tyniec grał tam między innymi Entreprenera.

Pana najbliższe plany to...
Od początku kwietnia w Teatrze Ludowym w Krakowie, będę miał przyjemność pracować nad drugą wersją „Folwarku Zwierzęcego” Orwella. Pierwszą wersję przygotowaliśmy dla Studium Aktorskiego przy Teatrze Muzycznym w Gdyni. Później będzie Bydgoszcz, a tam najprawdopodobniej „Dżuma” Alberta Camusa

Bardzo jestem ciekawa tej realizacji...
Sam jestem ciekawy, bo bardzo rzadko dyrektorzy teatru, i tutaj wielki ukłon w stronę dyrektora Mariusza Napierały, pozwalają na tak trudny tekst. Zwykle skłaniają się ku teatrowi, który bardziej przyciągnie widownię tytułem. Po Bydgoszczy będzie „Śpiewak Jabłoni” to tekst, który już kiedyś przygotowałem w Teatrze Żydowskim w Warszawie, wznowienie, ale też druga wersja tego przedstawienia zostanie zrealizowana w Teatrze Muzycznym w Gdyni na Scenie Nowej. ©

MATERIAL INFORMACYJNY T-MOBILE

T-Mobile z Dawidem Podsiadłą będą burzyć bariery komunikacyjne

Dlaczego rezerwujemy czas, by być razem, a potem tak łatwo się oddalamy? Dlaczego wciąż się spieszymy, ale nie potrafimy zdążyć do siebie? Jak to możliwe, że staliśmy się ekspertami w budowaniu barier? T-Mobile, wraz ze startem nowej platformy #BurzymyBarieri, podejmuje wyzwanie walki z barierami komunikacyjnymi w polskim społeczeństwie. Właśnie ta marka wierzy, że bliskość zaczyna się od usunięcia przeszkód, utrudniających bycie razem, a każdy przecież zasługuje na łączność z rodziną, przyjaciółmi, społecznościami i całym światem. Działania T-Mobile wesprze nowy ambasador – Dawid Podsiadło.

Według badaczy Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu aż 68% Polaków doświadcza samotności¹. Jednocześnie, co czwarta młoda osoba spędza online ponad 5 godzin dziennie, aby uniknąć poczucia osamotnienia². Na tym polega paradoks współczesnych czasów: chociaż mamy dostęp do licznych cyfrowych narzędzi ułatwiających komunikację, to odczuwanie samotności jest jednak dość powszechne. Bariery w nawiązywaniu kontaktów ciągle istnieją, niezależnie od tego, czy wynikają z podziałów społecznych, osobistych wyzwań, czy ograniczeń w branży telekomunikacyjnej.

osób odczuwa samotność. Właśnie dlatego podejmujemy kolejny krok w realizacji naszej misji: chcemy burzyć bariery komunikacyjne, aby budować bliskość wśród Polek i Polaków – powiedział Andreas Maierhofer, prezes zarządu T-Mobile Polska.

Zapowiadane zmiany klienti T-Mobile zauważą m.in. w sposobie obsługi w sklepach stacjonarnych czy na call center. Pracownicy będą niezmienne wsluchiwać się w głos swoich odbiorców i wdrażać do codziennej pracy sugestie, które od nich otrzymają.

Dawid Podsiadło nowym ambasadorem T-Mobile

Nie przez przypadek nowym ambasadorem marki został Dawid Podsiadło – artysta, który od ponad dziesięciu lat łączy Polki i Polaków dzięki swojej muzyce. Na koncertach gromadzi dziesiątki, a nawet setki tysięcy osób, pobijając rekordy frekwencji na stadionach. W połowie lutego tego roku firma została **mecenasem tytularnym nowego festiwalu Dawida – „ZORZA wspierana przez T-Mobile”**, który odbędzie się w 6 miastach w Polsce już tego lata.

Za nami miesiące intensywnych badań i rozmów z Polakami, które dały nam jasno do zrozumienia, że powinniśmy zmienić podejście do tego, jak komunikujemy się z klientami. Start nowej platformy #BurzymyBarieri to dla nas jednak coś znacznie więcej: to nie tylko repozycjonowanie marki, ale przede wszystkim zmiana intencji, z jaką działamy na rynku. W nadchodzących miesiącach skupimy się na wprowadzaniu innowacji, które zburzą bariery między naszą branżą a klientami. Jestem przekonany, że nowe podejście rynkowe, planowane oferty, jak i nowy ambasador – Dawid Podsiadło, z którym dzielimy te same wartości – pozwolą nam jeszcze lepiej realizować misję burzenia barier komunikacyjnych w polskim społeczeństwie – podkreślił Goran Markovic, członek zarządu T-Mobile Polska, dyrektor ds. B2C.

Od 25 lutego Dawida Podsiadłą będzie można zobaczyć w pierwszej odsłonie kampanii #BurzymyBarieri, w której artysta zastanawia się, jak to jest, że staliśmy się mistrzami

w tworzeniu barier. Jednocześnie Dawid zachęca, by zmienić ten stan rzeczy, podejmując proste gesty – takie jak okazywanie radości na widok drugiej osoby czy ponowne nawiązanie kontaktu po kłótni. Takie codzienne działania mogą pomóc nam zbliżyć się do siebie nawzajem.

Szeroka kampania brandowa

W ramach fazy teaserowej platformy #BurzymyBarieri T-Mobile przygotował kampanię outdoorową składającą do refleksji nad stanem naszych relacji międzyludzkich. Billboardy z różnymi hasłami i zaczepnymi pytaniami pojawiły się w 39 miastach w całej Polsce. Ich cel polegał na zmotywowaniu odbiorców do zastanowienia się, z jakimi barierami mamy do czynienia w naszym życiu, zwłaszcza w kontekście komunikacji z bliskimi i budowaniu głębokich relacji.

Dodatkowo wraz ze startem platformy 25 lutego marka zaprasza klientów do podzielenia się swoimi pomysłami, jak możemy burzyć bariery w relacjach. Najciekawsze hasła pojawią się na billboardach. Szczegóły konkursu znajdują się na stronie www.t-mobile.pl/c/burzymbariery. W ramach



angażującego programu Magenta Moments, co tydzień klienci operatora telefonii komórkowej znajdą w aplikacji „Mój T-Mobile” specjalne zdrapki z inspirowanymi hasłami, które nawiązują do przełamywania barier. Uczestnicząc w zabawie, można zdobyć serca, które pozwolą odblokować dostęp do jeszcze lepszych ofert w Magenta Moments, którymi następnie będzie można podzielić się z bliskimi.

Jednocześnie startuje nowa kampania 360°, która obejmuje działania m.in. w TV, radiu, kinach, kanałach digital i social media oraz na niestandardowych nośnikach: muralach, lodowiskach, w metrze, w tramwajach, a także w sklepach T-Mobile w całej Polsce. Za opracowanie całościowej koncepcji

kampanii i jej wdrożenie odpowiada agencja VML, która z początkiem 2025 r. przejęła pełny zakres współpracy marketingowej z T-Mobile.

To jednak nie wszystko. Już wkrótce rozpoczną się kolejne projekty łączące Polki i Polaków, a kampanię #BurzymyBarieri będą wspierać znane i lubiane osoby z różnych branż. Z kolei 25 marca wystartuje specjalny konkurs grantowy dla dziennikarzy, którego celem będzie wspieranie przedstawicieli mediów w tworzeniu treści, pokazujących przełamywanie barier wśród polskiego społeczeństwa.

¹ Badanie UMW: 68 proc. dorosłych Polaków odczuwa samotność, Naukawpolsce.pl, 16.02.2025

² Raport „#NigdyWiecejSamotności – Badanie osamotnienia pokolenia „Z” w Polsce” – edycja II, 2023 r.



Okładka z 18 lutego 1987 roku. „Wieczór” obchodził wtedy swoje trzydzieste urodziny



Ta okładka z 25 sierpnia 1992 roku przez lata wisiła w redakcji - za szkłem, które stłukło się, gdy „WW” zniknął



Okładka gazety z września 1999 roku. Wyróżnikiem były wtedy mocne, dawane tłustą czcionką, tytuły

GAZETA, PO KTÓRĄ USTAWIAŁY SIĘ KOLEJKI. NIEZWYKŁA HISTORIA „WIECZORU WYBRZEŻA”

„Gazeta musi być jak dobry bigos, bogata w ingrediencje, tłusta i pikantna” - mówił Waldemar Ślawik, wieloletni redaktor naczelny „Wieczoru Wybrzeża”. 18 lutego 1957 roku ukazał się pierwszy numer tej popularnej niegdyś gazety

Mariusz Leśniewski

Okładka „Wieczoru Wybrzeża” z 25 sierpnia 1992 roku. Duży format, łamanie „w schody”, pod charakterystyczną wieczorową winiętą tytuł materiału czołówekowego: „W końcu czyje są te pieniądze” z nadtytułem: „W Tczewie policja o mało nie znalazła się na bruku”. Po lewej rubryka: Masz problem, zadzwoń. A tam - na serio - numery telefonów (oczywiście, stacjonarnych, bo komórek wtedy nie było) do Jana Pawła II, Elżbiety II, George Busha, Helmuta Kohla i Lecha Wałęsy. Dlaczego akurat ta okładka? Bo jest i historyczny moment: część nakładu „WW” została bowiem wydrukowana w nowej drukarni offsetowej w Pruszczu Gdańskim, co redakcja obwieszcza u góry tytułem „Ruszyliśmy!”

Ta pierwsza strona jednak dużo też mówi o „Wieczorze Wybrzeża” jako gazecie, gdzie poważne reporterskie treści mieszały się z interwencjami, „sprawami i sprawkami” oraz rzeczami lżejszymi, które miały dostarczyć Czytelnikom (z reguły w redakcji pisano ich wielką literą) zabawy i dobrej rozrywki. I jeszcze jedna okładka: 21 września 1999 roku. To już inna gazeta, choć minęło raptem siedem lat. Okładka w kolorach typowych dla ówczesnego „WW” - jak na koniec lat 90-tych jest dynamicznie, nowoczesnie. Wyróżnikiem gazety były wtedy mocne, bijące po oczach tytuły. Ich wymyślanie było, nie wpadając w przesadę, istną kreacją artystyczną. Nie było co prawda w redakcji funkcji „tytułarza”, a zrobienie „jedynek” leżało w gestii redaktora prowadzącego plus - oczywiście - „łamacza”,

czyli redaktora technicznego tudzież, jak to się dziś elegancko, określa - grafika. Czołówekowe materiały w „WW” zawsze miały swoją moc, a przy końcu lat 90-tych trzeba już było ostro walczyć o każdego Czytelnika. Stąd nie dziwi obecność „prospierażowego” paska na górze, czyli „Na grzyby! Nasz cykl dla zbieraczy”.

„Wieczór Wybrzeża” od początku swojej historii, czyli od roku 1957 - po politycznej odwilży z 1956 r. - spozycjonowany

był jako gazeta lżejszego kalibru, ale nie brukowa, lecz bulwarowa, która miała docierać do szerokiego grona odbiorców. I - co ważne - była to popołudniówka: robotnicy wracający ze stoczni czy portów mieli ją widzieć i kupować w kioskach, a tych przecież wtedy nie brakowało. Jeszcze, dla porządku, trochę historii z Gedanopedii: „Pomysł [utworzenia nowej gazety] był - dop. red.] autorstwa ówczesnego redaktora naczelnego „Głosu Wybrzeża” Zbigniewa

Wojakiewicza, zrodził się podczas nurtu reformatorskiego w Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej po wydarzeniach w roku 1956. Do redakcji „Wieczoru Wybrzeża” przeszło 11 dziennikarzy „Głosu Wybrzeża”: Alicja Głowczyńska, Karol Józwiak, Zdzisław Łabęcki, Alicja Mach, Stanisław Majewski, Jerzy Model, Wanda Ody, Wiesława Rejnsen, Jerzy Wacziński, nieco później Waldemar Ślawik i odwołany redaktor naczelny >Głosu< Zbigniew Wojakiewicz”

To był pierwszy zespół „WW”, a w 1958 roku „Wieczór Wybrzeża” stał się samodzielnym tytułem, wydawanym przez RSW Prasa. Przez kolejne lata, dekady, skład zespołu wielokrotnie się zmieniał, ale gazeta szybko stała się bardzo popularna, osiągając nakłady najpierw rzędu 43-46 tysięcy, a w drugiej połowie lat 80-tych

sięgał od 70 do nawet 110 tysięcy! Zatrzymajmy się na chwilę w latach 80-tych...

Przedstawiciele pokolenia z pierwszej połowy lat 70-tych (autor tego tekstu to rocznik 1973) na pewno dobrze pamiętają długie kolejki po „WW”. Kiosków - jak już wspomniano - było wtedy zatrzęsienie. Przykładowo na samym osiedlu Morena było ich kilkanaście i... przed każdym stał sznur chętnych do kupna gazety. Szczęściarze mieli ją odkładaną do tzw. teczki, ale w sumie zależało to od dobrej woli kioskarsza. Dzieciaki rano kupowały „Świat Młodych” (to dwa razy w tygodniu), a po południu ruszały po „Wieczór” dla rodziców, no chyba, że ojciec kupił go po drodze z pracy do domu. W gazecie było wszystko i to z dużo mniejszym udziałem komunistycznej propagandy niż w innych wybrze-

„WIECZÓR” OPISYWAŁ WOJNY
GANGÓW Z LAT 90-TYCH. JEGO
REPORTERZY BYLI PIERWSI
NA MIEJSCU, GDZIE ZGINAŁ
SŁYNNY NIEGDYŚ NIKOŚ

żowych tytułach - i nie tylko teksty, były też komiksy! Co prawda w latach 80-tych wybitny rysownik Janusz Christa przygody Kajka i Kokosza umieszczał już w kolorowym „Świecie Młodych”, ale pierwsze kroki robił właśnie w „WW”, od 1958 roku do 1972 roku tworząc komiks o przygodach Kajka i Koka, czyli protoplastów Kajka i Kokosza.

Od komuny do demokracji

Lata 80. miały w różnych odzieniach szarości, biedy i beznadziei, a lektura gazety była dobrą odskocznią od codzienności. Reportaże, policjałki, teksty interwencyjne, sport, rozrywka, porady - „Wieczór Wybrzeża” zawsze miał dobre ekipy, które umiały trafić w gust Czytelnika. I to się nie zmieniło w latach 90-tych, kiedy nastała nowa era - era demokracji. Lata 90-te były barwne, dynamiczne, Polacy zachłystali się Zachodem i dobrodziejstwami, które zaczęły z niego płynąć. Co prawda markowe džinsy Levisa czy Montany nie były dla wszystkich z racji ceny, ale można je już było kupić za złotówki, a nie tylko dolary w sklepach Peweksu.

Ta dekada to, niestety, także ogromny wzrost bezrobocia, likwidacji „nierentownych” zakładów pracy, biedy po zlikwidowanych PGR-ach, a przede wszystkim rozwój przestępczości zorganizowanej. Na Wybrzeżu też tego nie brakowało, a dziennikarze „WW” nie jeden raz opisywali brutalne walki gangów. W latach 90-tych Trójmiasto (upraszczając mapę gangsterskich wpływów) podzielone było, z grubsza, pomiędzy Nikodema Skotarczaka „Nikosia” a Wiesława Kokłowskiego, ps. Szwarceneger lub Arnold. Ten drugi grał w niższej lidze, ale ambicji mu nie brakowało. Na początku dekady mieszkanie „Szwarcenegera” zostało ostrzelane z broni maszynowej, on sam cudem przeżył, ale został ranny w kręgosłup. Uciekł potem ze szpitala i ukrywał się przed policją. Jego życie jako przestępcy było barwne: posiedział rok, wyszedł, miał kontakty z mafią włoską, bo w Italii też się ukrywał, no i wchodził w konflikty z ludźmi „Nikosia”. 5 maja 1997 roku „Szwarceneger” zginął od kul na Przymorzu. To wszystko w licznych tekstach opisywał ówczesny „Wieczór Wybrzeża”, a jego reporterzy rok po zabójstwie „Arnolda” byli na miejscu innej zbrodni: w agencji towarzyskiej „Las Vegas”, gdzie 24 kwietnia 1998 roku zastrzelono „Nikosia”.

Dajcie materiał na „HITA”!

Tematy policyjno-prokuratorskie, śledcze, sensacyjne, zawsze były mocną stroną „WW”, a autorski duet Andrzej Dunajski-Romuald Orzeł (podpis: duro) z reguły miał newsy, o których konkurencja mogła tylko pomarzyć. W drugiej połowie lat

90-tych umieszczano je - oczywiście - na stronie pierwszej i na prestiżowej stronie trzeciej z paginacją „HIT” (za materiały na tej stronie była też najlepsza wierszówka). Z reguły znajdowały się też tam znakomite zdjęcia wieczorowych fotoreporterów, czyli nieżyjących już Wojciecha Lendziona i Tomasza Bołta. Z duetem duro konkurował duet Dorota Abramowicz-Beata Jajkowska i była to na ogół rywalizacja wyrównana.

Nie wpadając w przesadę, można powiedzieć, że lata 90-te były najlepszym okresem w historii „Wieczoru Wybrzeża”. Koniec komuny oznaczał kres cenzury, a reporterki i reporterzy gazety mogli w pełni rozwinąć skrzydła. Ciekawa była hierarchia panująca wtedy w redakcji: oczywiście redaktor naczelny odpowiadał za wszystko, był „twarzą” gazety, znacząca była też rola kierowników działów, ale tak naprawdę najważniejsi pozostawali dziennikarze. To oni bowiem dostarczali „wkładu” do gazety, oni szukali newsów, prowadzili dziennikarskie śledztwa (nikt już w Polsce ich nie robi) czy rozliczali urzędników.

A „Wieczór Wybrzeża” rozliczał wszystkich. Nie było „świętych krów”, politycznego uwikłania, układów i układzików z politykami czy urzędnikami. Gazeta zawsze stała po stronie Czytelników, a rubryka na stronie drugiej „Szląg mnie trafia” pełniła ważną rolę interwencyjną. Ba, jeden z ówczesnych naczelników w gdańskim Urzędzie Miejskim miał nawet papierową teczkę, gdzie jego sekretarka zbierała wszystkie krytyczne teksty o jego wydziale.

- Panie redaktorze, panie redaktorze, w tym miesiącu dożyłście mi pięć razy - usłyszał kiedyś od nieżyjącego już naczelnika jeden z reporterów „WW”. - Co ja wam zrobiłem, że ciągle się mnie czepiacie. W innych wydaniach jest gorszy burdel, a wy ciągle o mnie i o mnie...

Państwo, Francuz, Niemiec...

Lata 90-te, co warto zaznaczyć, były czasem „romantycznego dziennikarstwa”: pracowało się w terenie, operacyjnie, przez całe dni, bo gazeta zamykała się nierzadko po północy, a napisanie tekstu było tylko ukoronowaniem żmudnego procesu zbierania materiałów. Dzwonienie było tylko elementem pomocniczym, zza biurka z telefonu stacjonarnego korzystało się w ostateczności, na szybko. Ba, kierowniczki i kierownicy działów bezlitośnie tępiли u podwładnych, że ktoś „wisiał na telefonie” - trzeba było ruszać w teren, bo tam było miejsce reportera, a nie tkwić przed komputerami. No właśnie, komputery! To była rewolucja w pracy każdej redakcji, „Wieczoru” nie wyłączając. Jako pierwsza w Trójmieście została ona skomputeryzowana i jako pierwsza przeszła na druk płaski,



23 stycznia 2002 r. Jedno z ostatnich zdjęć „wieczorowców”, a może ostatnie

offsetowy. Zmienił się też właściciel: państwo zastąpił najpierw francuski koncern Socpresse Roberta Hersanta, a potem - w drugiej połowie - lat 90-tych niemiecka grupa Passauer Neue Presse (Verlagsgruppe Passau) bawarskiej rodziny Diekmannów. „WW” przestał być wtedy popołudniówką i można go było kupić w kioskach od rana. Żartowano nawet, że „Wieczór Wybrzeża” stał się „Porankiem Wybrzeża”, ale tytułu nie zmieniono.

Rodzinie Diekmannów i postępowi technologicznemu „Wieczór” zawdzięczał również historyczny telefon komórkowy: była to Nokia Centertela wielkości cegły z metrową anteną. Reporter dyżurny dostępował z szczytu noszenia tego „ustroju” w specjalnej kaburze przy pasie.

Wyglądał wtedy jak kowboj, ale z Nokii dzwoniło się tylko „od święta”, bo rozmowy były astronomicznie drogie. Komórkowa

cegła była nie tyle narzędziem pracy, co symbolem statusu, prestiżu...

A prestiż tytułu, prestiż bycia dziennikarzem były wtedy ogromne. Drzwi do każdego gabinetu stały wtedy przed reporterami otworem. Jeździło się często na materiały spontanicznie, wpadało do urzędów, komend policji czy prokuratur bez zapowiedzi. Urzędnicy, to były inne czasy, panicznie bali się wtedy opisanego w złym świetle, krytyki, bo materiały prasowe potrafiły wywołać prawdziwą burzę.

Były też historie anegdotyczne: ot na przykład wtedy, gdy ekipa „WW” wpadła pewnego razu do człuchowskiej prokuratury. Chodziło o grubszą sprawę, która w niekorzystnym świetle stawała tę instytucję, ale szef prokuratury był przekonany, że reporterzy pojawili się po to, by... opisać złe warunki lokalowe prokuratury - obdrapanie ściany, grzyb, połamane meble...

Co robić: trzeba było podjąć interwencję, a ze śledztwem poczekać.

Gazeta musiała zarabiać

Zmiany technologiczne, które nastąpiły w drugiej połowie lat 90-tych, to jedno, nastąpiły też zmiany w postrzeganiu roli gazety: ona miała już nie tylko opisywać rzeczywistość, nieść „misję dziennikarską”, ona musiała przede wszystkim zarabiać. Wiadomo, że niemiecki inwestor nie kupił jej, by stawiać po komunie na nogi polskie media, ale by na nich zarabiać. I to rodzinie Diekmannów się udało, a w „Wieczorze Wybrzeża” (podobnie było w innych polskich tytułach Passauer Neue Presse) zaczęła się walka o każdego Czytelnika. Przez lata 90-te redaktorem naczelnym tytułu pozostawał Edmund Szczesiak, zaś jego zastępcą był red. Tadeusz Woźniak, autor hitowego cyklu „Porady ojca Grande”, który sprawiał, że piątkowe wydanie gazety miało kosmiczne nakłady. Ojciec Grande był zakonnikiem zakonu bonifratrów we Wrocławiu i specjalizował się w ziołolecznictwie, a także sztuce zdrowego tradycyjnego jedzenia. Jego porady - zamieszczane w piątkowych wydaniach „WW” - ukazywały się także w formach książkowych i były wielokrotnie wznawiane.

Ten swoisty miszmasz, wymieszanie rozmaitych treści, sprawiało, że „Wieczór” wymykał się jednoznacznym interpretacjom. - Gazeta musi być jak dobry bigos, bogata w składniki, tuśta i pikantna - mawiał Waldemar Ślawik, wieloletni redaktor naczelny „Wieczoru Wybrzeża” i jest w tym sporo racji. „Thuste” były mocne czołówki gazety, „pikantne” choćby materiały interwencyjne, które bolały urzędników, a bogactwo treści biło z każdego numeru, choć coraz mocniejsze były naciski na zarabianie pieniędzy.

Komercyjne postrzeganie gazety zaowocowało w drugiej po-

łowie lat 90-tych superpomysłami biznesowymi na czele ze zdrapkami. Jeśli się dobrze dra-pało, i miało szczęście, można było wygrać telewizory, pralki, a nawet samochód. I znów do kiosków ustawiały się długie kolejki, a zdrapki dostarczały wielu emocji.

Kto nie miał szczęścia, i tak był wygrany: w piątkowych magazynach „Wieczoru” ukazywały się bowiem znakomite teksty wspomnianych już wcześniej autorek i autorów, a także świetne wywiady Ryszarda Wojciechowskiej czy doskonałe teksty społeczne Ireny Łaszyn. Nie da się, zresztą, wymienić wszystkich wieczorowych autorów z lat 90-tych, ale dodajmy jeszcze do tego grona m.in. Gabriellę Pewińską, Ilonę Miluszewską, Annę Kłós czy Alicję Paczkowską, która była szefową piątkowego magazynu. Dużą popularnością cieszył się również cotygodniowy dodatek do „WW” czyli „Wieczór Intymny” o mocnym odważnym zabarwieniu erotycznym. Miłosne historie, romanse, zdrady, porady - to wszystko czytało się z wypiekami na twarzy, a dodatek redagowała red. Elżbieta Południak, która była też zastępczynią redaktora naczelnego. Fenomenem były ukazujące się tam ogłoszenia „poznam panią, poznam pana”, które obsługiwał się wtedy tradycyjną pocztą, bo o żadnych mailach nikt wtedy jeszcze w Gdańsku nie słyszał. Nie wiadomo dlaczego, ale naprawdę tak było: wieczorową pocztą zasypywały wtedy listy osadzonych z całego Pomorza, którzy po wyjściu na wolność marzyli o poznaniu „miłości swojego życia”.

Silny był też dział sportowy z red. Jerzym Konopką, a dodatkami kierowała Ewa Skrabaszewska. Specyfiką gazety było też łowienie młodych talentów poprzez ogłaszanie dziennikarskich konkursów: napisz tekst, przyślij do redakcji, a potem może zostaniesz reporterem. Udało to się m.in. późniejszemu dwukrotnemu zdobywcy nagrody Grand Press, Krzysztofowi Wójcikowi czy Marcinowi Dybukowi, który potem został zastępcą redaktora naczelnego „Dziennika Bałtyckiego”.

I ostatecznie przeznaczenie (a raczej biznes) związały losy tych dwóch gazet. We wrześniu 2001 roku „Wieczór Wybrzeża” został połączony z „Dziennikiem Bałtyckim”, bo wydawca uznał, że nakład „WW” za bardzo spada, a sam tytuł nie rokuje sukcesu biznesowego. Fuzyja miała sprawić, że Czytelnicy „Wieczoru” przejdą automatycznie do „Dziennika”, co - oczywiście - nigdy nie nastąpiło. Nie dało się nabrać ludzi, że cienki wieczorowy dodatek do „DB” to prawdziwy „Wieczór Wybrzeża”. Większość z nich wybrała lekturę „Faktu” i „Super Expressu”, choć nie były to gazety na miarę „WW”.

Ale to już temat na inną opowieść...



Losowanie zdrapiek w redakcji, koniec lat 90-tych

WOJNA NIE JEST CZARNO-BIAŁA. MA RÓŻNE ODCIENIE

Igor Tracz, wielokrotny mistrz świata i Europy w wyścigach psich zaprzęgów, od pierwszych dni pełnoskalowej wojny na Ukrainie pomaga zarówno ukraińskim cywilom, wojskowym, jak i zwierzętom. Właśnie wyrusza z 82. konwojem humanitarnym. Opowiedział nam, jak wygląda wojenna rzeczywistość. Nie pomija drastycznych szczegółów, bo ... - O tym trzeba mówić. To jest tuż obok nas – przekonuje sportowiec z Trójmiasta, który codziennie doświadcza ataków za to, co robi

Danuta Strzelecka

Pamiętasz, gdzie byłeś 24 lutego 2022 roku, kiedy wybuchła pełnoskalowa wojna na Ukrainie?

Byłem w Norwegii na mistrzostwach świata w wyścigach psich zaprzęgów. Pamiętam, że kiedy się o tym dowiedziałem, nie mogłem zasnąć przed kolejnym wyścigiem, bo szukałem na różnych kanałach youtubowych informacji, wypowiedzi, specjalistów i komentatorów na temat tego, co się wydarzyło. Wtedy był jeszcze duży chaos informacyjny. Ale dało się wtedy wyczuć strach wśród ludzi całego świata. Pamiętam to dokładnie. Rozmawialiśmy na temat wojny. Wśród nas byli również Rosjanie, którzy jeszcze przed 24-tym zapewniali nas, że niczym nie mamy się przejmować, że nic nie będzie, że Putin takie feйки sprzedaje, żeby nas postraszyć. Ale jak wybuchła wojna to już mieli inne miny, odsunęli się od nas i nie chcieli z nami rozmawiać. Wtedy też postanowiłem, że nie będę wspierał Rosji w żaden sposób sportowy, sprzedawał osprzętu, organizował kursów i szkoleń dla nich, nie stanę też na linii startu z żadnym Rosjaninem, dopóki wojna się nie skończy. Wracając z zawodów do Polski, taki wpis zrobiłem na moich social mediach.

Później się okazało, że odbił się szerokim echem po Rosji.

Tak, wrzucili go w różne inne portale rosyjskie, gdzie napisali „Champion mira pomaga faszystom”. I zrobili to moi do tej pory przyjaciele w Rosji, z którymi się świetnie znałem. To był moment przełomowy. Wkurzyłem się i powiedziałem – dobra będę pomagał Ukrainie. Zrobię, co mogę.

Kilka dni później, 1 marca byłeś już na granicy z Ukrainą w Medyce. Jak chciałeś pomóc i komu?

Mamy samochody do transportu zwierząt, mamy przyczepy, więc bierzemy je i jedziemy na granicę pomagać się ewakuować tym ludziom. Ludzie uciekali w popłochu z całymi rodzinami, ze zwierzętami. Zabieraliśmy ich stamtąd i rozwoziliśmy po Polsce, gdzie ktoś miał jakiś kontakt, żeby się zatrzymać. To były nasze pierwsze dni pomocy. Później zaczęliśmy jeździć coraz głębiej, najpierw do Lwowa, później coraz dalej i dalej. Z każdym wyjazdem byliśmy coraz dalej. Już zaczęła spływać do nas pomoc od ludzi z całego świata, w postaci odzieży, leków, karmy dla zwierząt. Już nie tylko ewakuacja ludzi i zwierząt, to już były także dostawy. Tuż po wyzwoleniu spod rosyjskiej okupacji Borodzianki, a było to na początku kwietnia, udało nam się tam dostarczyć tira karmy do schroniska dla zwierząt,

które było bez żadnej opieki przez ten czas. Opiekunowie pouciekali. Ruskich to nie interesowało. Tam połowa tych psów zginęła. Przeżyły te, które zjadły zwłoki innych zwierząt.

Ta pomoc ewoluowała przez te trzy lata. Na kim skupiacie się teraz?

Z każdym miesiącem ta pomoc się zmieniała, bo zmieniały się też potrzeby. Była pomoc dla szpitali, dla punktów medycznych, dla medyków - leki, narzędzia chirurgiczne, środki ochrony, opatrunki, sprzęt rehabilitacyjny, generatory prądu... Zaczęliśmy zaopatrywać wojsko. Po tych paru miesiącach pomagania zobaczyliśmy, że w największej potrzebie jest wojsko, które ma zawsze braki, a bez pomocy żołnierzy nie będzie ochrony ludności i zwierząt. Ludzie zawsze mają jakiś wybór, mogą się przeprowadzić, choć wielu z różnych przyczyn tego nie robi, a żołnierz musi stać na swoim posterunku. Oczywiście, mieliśmy również w tym samym czasie wiele transportów do różnych domów dziecka i ośrodków z pomocą dla tych dzieci. Obecnie 75 procent naszej pomocy jest dla wojska, reszta trafia do cywili i zwierząt.

Jeździcie z konwojami tuż pod linię frontu.

Tak, zaczęliśmy dostarczać pomoc na tzw. drugą linię frontu, bezpośrednio do okopów, czyli czasami 800, 1000 metrów od rosyjskich pozycji. Dość głęboko wjeżdżamy. W ubiegłym roku nasza fundacja [Fundacja Igora Tracza - red.] podpisała kontrakt współpracy z Ministerstwem Obrony Wielkiej Brytanii i co mniej więcej dwa miesiące otrzymujemy bardzo duże wsparcie wojskowe dla żołnierzy. To nie jest broń, ale jest sprzęt ochrony osobistej, kamizelki, hełmy, odzież, mundury, ładownice, dalmierze, lornetki. To różnego rodzaju sprzęt, który nie jest bronią, ale jest potrzebny do tego, by przeżyć na polu walki i funkcjonować. Najważniejsze w tej pomocy brytyjskiej jest to, że to my decydujemy, gdzie to trafia. Na bieżąco sprawdzamy zapotrzebowanie w poszczególnych oddziałach, tam gdzie to jest najbardziej potrzebne i dostarczamy w różne miejsca, od północy na południe frontu. Od ubiegłego roku do naszej fundacji weszli instruktorzy medycyny wojskowej pola walki. Część z nas również zrobiła uprawnienia medyka pola walki. Kiedy więc jeździmy z dostawami do Ukrainy, to też staramy się też wykorzystać ten czas na szkolenie na miejscu tych żołnierzy, którzy trafili na front w ostatnim roku, ponieważ

jest takie zapotrzebowanie. Po prostu nie ma tam czasu na takie szkolenia, nie ma też kadry instruktorskiej, bo ona walczy.

Doświadczyłeś ataków w social mediach za to, co robisz?

Codziennie doświadczam hejtu. W większości przypadków jest on anonimowy, ale absolutnie nie ma dnia, żeby ktoś mi nie groził śmiercią w social mediach. Czy są to anonimy, czy są to trolle, czy ludzie, którzy łykneli rosyjską propagandę i nią żyją - nie mam pojęcia. Natomiast codziennie ktoś pisze, że powinni mnie zabić, powinienem pójść do więzienia, powinienem za to odpowiadać, zostać rozstrzelany i moja rodzina również, że powinni mnie nabić na widły, tak jak Ukraińcy na Wołyniu, bo odwołania do Wołynia są cały czas. Chodzi o to, żebyśmy cały czas byli skłóceni - Polacy z Ukraińcami. Rosja wykorzystuje tę propagandę i świetnie nią manipuluje. Ciężko nam z tym walczyć. Ale jest również hejt od osób prawdziwych. Nawet wśród bliskich znajomych pojawiły się negatywne głosy.

Uodporniłeś się?

Przyzwyczaiłem się do tego. To się nie skończy, to jest również wojna. Tam jest wojna na kule i rakiety, pociski, a tu

jest wojna informacyjna. Trzeci rok w Ukrainie utwierdził nas tylko w przekonaniu, jak perfidna i obłudna jest Rosja, jak systematycznie terrorizuje cywili, zabija dzieci i zwykłych mieszkańców, jak nie szanuje życia swoich żołnierzy. Ale to nic odkrywczego, najgorsze, że kupuje kolejnych na tym świecie i przeciąga na swoją stronę. Nie tylko przywódców Słowacji czy Węgier, ale i wyciągając swój najskuteczniejszy oręż, czyli propagandę. Wchodzi w umysły „prawdziwych Polaków”, co „pamiętają”, którzy łykają ruską narrację jak swoją. Nie ma tu czasu i miejsca na rozkrok, jesteśmy w takim momencie historii, że albo jesteśmy z nami i walisz Ruska po głowie, albo jesteś wrogiem. Neutralność powinna być karana. My nie odpuszczamy, szykujemy kolejne konwoje, w styczniu zostałem zaproszony osobiście do Zalużnego, ataki ruskich trolli na mnie czy pojawiający się czasem ogon świadczą, że robota jest dobrze realizowana. Ale wiem, że nie jesteśmy sami i mimo że tego nie widać, plecy nam się rozrosły.

W ubiegłym tygodniu, 19 lutego, kiedy Trump obwiniał Kijów i mówił „Nigdy nie powinni tego zaczynać”, skomentowałeś to social mediach.



Fundacja Igora Tracza zorganizowała 81 konwoje do Ukrainy. Wkrótce pojadą znowu



„Wjeżdżaliśmy z danego miejsca i zaraz w tam, lub tuż obok, coś eksplodowało”

Zrobiłem to z premedytacją, żeby się niektóre osoby otrząsnęły. Bo zobacz, w telewizji cały czas mówimy o Auschwitzu, są obchody tego, co wydarzyło się 80 lat temu i bardzo dobrze, że przypominamy o tym, a tu w Ukrainie naprawdę potworne zbrodnie, które są udokumentowane, wydarzyły się obok nas. Powinniśmy o tym pamiętać, bo to nam przypomina, jak straszna jest wojna i jak bezwzględna jest w tym wszystkim. Zdecydowanie za mało o tym mówimy. Mogę tu powtórzyć, to co napisałem, żeby jeszcze więcej osób o tym pamiętało, co dzieje się w Ukrainie, co robią Rosjanie. Podam kilka przypadków: Autobus z dziećmi z Donbasu jechał w okolicie Białegostoku do zamkniętego obozu terapeutycznego. Ich wiek nie przekraczał 14 lat, były zgwałcone i miały wyrwane zęby. Na ich oczach rosyjscy żołnierze też zastrzelili ich rodziców i powiedzieli „abyście pamiętały i szanowały naszą armię”. „Baks”, polski ochotnik, walczący od początku pełnoskalowego konfliktu opowiadał: „Weszliśmy do domu, mieszkańcy byli martwi, z jednego z pomieszczeń dochodził płacz dziecka. W kuchni na stole leżało jeszcze żywe niemowlę, miało otwartą całą jamę brzuszną, krzyknąłem - Medyk! - wszedł i kazał nam wszystkim wyjść, po chwili płacz ustał...”. Oleksandriwkę pod Mikołajowem ruscy okupowali przez 8 miesięcy. Tych, którzy nie zdążyli uciec, wrzucili do kilku domów, do każdego po kilkadziesiąt osób. Lepsze chaty wzięli dla siebie. W domach, które zajęli, na ścianach wszędzie malowali penisy, w jednym z pomieszczeń wrzucali martwe zwłoki zwierząt, w drugim pomieszczeniu obok spali, w łazience załatwiali się na podłogę obok toalety... Potem mieszkańcy pokazali nam miejsce, gdzie stały dwa mobilne krematoria, w których na bieżąco Rosjanie palili martwych swoich towarzyszy broni. Świętana wraz z córką były ewakuowane z okolic Chersonia, na ich oczach rosyjscy żołnierze zgwałcili, oskalpowali, potem odcięli uszy, a na końcu zastrzelili ich sąsiadkę. W Makarowie w śmietniku leżał wyjący z bólu pies, miał połamane wszystkie łapy, został położony na minie pułapce - Mateusz Lachowski, korespondent wojenny. W Irpieniu starsza pani pokazała mi na ulicy wielką zasnęłą plamę krwi, po rozstrzelanych kilka dni wcześniej bliźniakach w wieku 5 lat. Żołnierz „Snajper” oprowadzał nas po stadninie koni sportowych, 40 arabów spalonych żywcem przez Rosjan, każdy zwęglony w swoim bok-

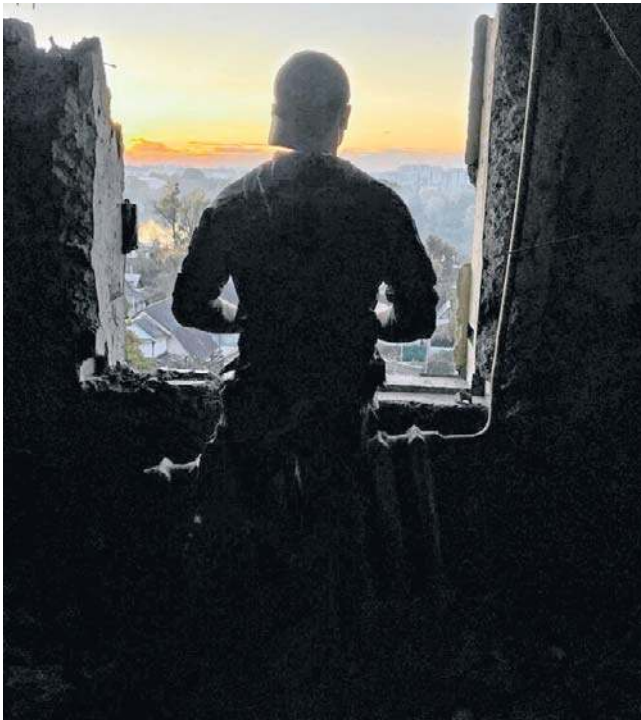
sie. Smród nie do zapomnienia. W okopie po Rosjanach leżały skradzione sprzęty AGD ze splądrowanych w pobliżu mieszkań z obrzeży Kijowa, wśród rozwalonych T72 leżała urwana stopa, a obok niej but ruskiego czołgisty. Resztę ciała zjadły dwa miejscowe burki, które stały obok nas i merdały ogonkami, ocierały się o nasze nogi, a ja im dawałem suchą karmę...

Słowa Trumpa cię wkurzyły.

Tak, bo ich nie rozumiem. Gdyby on to robił z premedytacją, żeby trochę połaskotać Putina, żeby uwierzył w te jego kłamstwa - jeśli tym by były - a później Trump wykorzystałby tę sytuację w jakiś sposób, to bym to zrozumiał, ale nie mamy takiej pewności. Boję się, że on faktycznie tak myśli i chce się dogadać, by jak najwięcej zyskać z okazji, że dzieje się wojna, że giną ludzie w Ukrainie. Wkurzyły mnie słowa Trumpa, ale również wkurzają mnie moi rodacy, którzy jakby tego nie rozumieją, popierają go i twierdzą, że wszystko jest ok, bo ta Ukraina jest sama sobie winna. W jakimś stopniu jest Ukraina winna sobie tej wojny, bo niewiele zrobiła, żeby do tej niej nie dopuścić, bo sami w nią nie wierzyli. Ale to nie ma znaczenia, to Rosja jest agresorem, to Rosja dokonuje tu bestialstwa.

Jesteś często przy linii frontu, rozmawiasz zarówno z żołnierzami z okopów, jak i z wyższą kadrą wojskową. Jak oni odbierają to, co się teraz dzieje, te rozmowy o „pokoju”?

Uogólniając: biorąc pod uwagę różne odcinki frontu i myśląc o różnych żołnierzach, oni po trzech latach twierdzą, że nie ma innego wyjścia, jak walczyć i zniszczyć, jak najbardziej się da, przegonić Rosję jak najdalej. Oczywiście, że jest jakiś procent, który ma wahania morale, czasami im się odechciewa, bo widzą korupcję w Ukrainie, bo widzą, że świat ich olewa totalnie w wielu przypadkach, albo po tym co Trump wyprawia i jakie bzdury gada. To są jednostki, ale generalizując, oni wciąż mają chęć do walki. Wczoraj rozmawiałem o tym, co się stanie, jak Trump odeśnie im pomoc. Takie głosy do mnie dochodzą, że wystarczy im siły militarnej na walkę na jakieś trzy miesiące, jeśli na poważnie nie włączy się Europa z pomocą w tak dużej skali i oni będą musieli pójść na jakiś krzywy rozejm, to to się nie skończy, w takich granicach, jak to sobie wymyślił Trump z Putinem. Dojdzie do bardzo intensywnych walk partyzanckich. Oni są już przygotowani na wojnę partyzancką. Ona jest straszna i bezwzględna, ale wiemy, że takie



FOT. ARCH. IGORA TRACZA

Patrzyłem na zniszczoną pobliską Buczę. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że to dopiero początek...

wojny partyzanckie Rosja przegrywała - w Czeczenii, w Afganistanie. Ukraińcy nie złożą broni. Dla żołnierza nie ważne jest to, co dzieje się w polityce, liczy się to, by mieli amunicję, wodę i śpiwór. „Jak to dojedzie - mówią mi - to możemy dalej walczyć. Na politykę nie mamy wpływu”.

Zmieniło się twoje wyobrażenie o wojnie w ciągu tych trzech lat?

Trochę się zmieniło. Wojna jest bardzo zróżnicowana. Zawsze sobie wyobrażałem, że wojna to jedna wielka bitwa. Mimo tego, że interesowałem się historią, konfliktami zbrojnymi, dopiero kiedy tam pojechałem, zobaczyłem, jak wojna jest zróżnicowana, jak nie jest czarno-biała, jakie są różne odcienie tej wojny. Tak jak podczas II wojny światowej, bomby leciały, obok była bitwa, a ludzie w miastach potrafili normalnie żyć. Nie potrafiłem tego zrozumieć, czytając o tym w książkach. Aż to zobaczyłem, że 50 km dalej może być rzeź - dosłownie, jedna armia z drugą się ściera i leje się krew, a godzinę drogi dalej siedzę w restauracji, leci muzyka, ludzie się śmieją i opowiadają dowcipy. Albo to, że lecą bomby, wyją alarmy, a ludzie spacerują z dziećmi, bo chcą normalnie żyć. I to była taka różnica między moim wyobrażeniem o wojnie, a tym czym ona jest naprawdę i jak szybko się człowiek adaptuje do tego, co się dzieje. Szybko się adaptujemy. Ja w pierwszych dniach, tygodniach wojny bałem się wejść do Lwowa. Wjeżdżałem, ale byłem spięty, przerażony, spałem w odzieży, obok stały buty i plecak do szybkiej ewakuacji. Wtedy działała wyobraźnia, a nie mieliśmy doświadczenia. Dopiero po czasie nauczyliśmy się również

z tym żyć ucząc się tego środowiska. Teraz jadąc na linię frontu, wiem, gdzie jest większe zagrożenie, a gdzie mniejsze.

Ocieraliście się o niebezpieczne sytuacje?

Tak, mieliśmy takie sytuacje. Siedzieliśmy w okopie 800 metrów od pozycji rosyjskich. Nad nami latały moździerze jednej i drugiej strony, byliśmy kilka razy gonieni przez ruskie drony kamikadze, uciekaliśmy naszym samochodem przez las. Mieliśmy świadomość tego, że coś się dzieje. Mieliśmy też taką sytuację, kiedy trzydzieści metrów obok nas spadł dwumetrowy dron i nie eksplodował. Tylko dlatego w nas nie wałnęła, bo ewidentnie nas namierzył, jak zaczęliśmy rozpakowywać transport, że mieliśmy w samochodzie system REB, który zakłóca częstotliwość dronów. I tego właśnie zakłócił. Ale równie niebezpiecznie jest w zabudowaniach. Przyjechaliliśmy do jednej z miejscowości, w której dwie godziny wcześniej spadły rakiety na ten budynek, w którym mieliśmy się zatrzymać. Gdybyśmy wtedy tam byli... Takie sytuacje zdarzały nam się kilkakrotnie - wyjeżdżaliśmy z danego miejsca i zaraz tam, lub tuż obok, coś eksplodowało. Na terenie całej Ukrainy w tych terenach nieprzyfrontowych, przypadkowa śmierć jest bardzo częsta, codziennie spadają tam drony i rakiety balistyczne. One spadają w różnych miejscach. Od zachodu po wschód. Nie można powiedzieć, że jest tam bezpiecznie. Oczywiście, Ukraina jest tak dużym państwem, że jeśli danego dnia polecą 200 dronów i raket, to nie jest tak, że na pewno je zobaczysz, ale możesz mieć dużego pecha i możesz być w centrum miasta, które jest

na celowniku. Możesz być najlepiej przygotowany i wyszkolony i nie ma to najmniejszego znaczenia. A ludzie już nie chowają się do schronów. Teraz wyje syrena, masz informacje na aplikacji, że jest zagrożenie, informują czy to lecą drony, KAB-y czy rakiety balistyczne, a ludzie nie uciekają.

Co najbardziej tobą wstrząsnęło?

Największe wrażenie na mnie wywarło to, co zobaczyłem, poczułem w Irpieniu i Buczy w pierwszych dniach kwietnia 2022 r. Widziałem później gorsze rzeczy, ale byłem już do nich przyzwyczajony. Dla mnie wtedy, dla osoby, która przyjechała z Polski na teren wojny, parę dni po wyzwoleniu tych dwóch miast, to było bardzo dużym szokiem. Zobaczyłem bloki dziesięciopietrowe, jak w Polsce na osiedlach PRL-owskich, były teraz czarne, spalone, zniszczone, splądrowane, z dziurami na wylot, przestrzelone, do tego jeszcze zaminowane i zapach, wszędzie się unosił swąd spalenizny. To wszystko działało niesamowicie na zmysły. Do tego ludzie, którzy tam jeszcze zostali, od razu opowiadali historie, co się gdzie wydarzyło, kto gdzie zginął, kogo rozstrzelali, co tu Ruscy zrobili. To był dla mnie największy szok, bo to było pierwsze spotkanie z takimi faktycznymi efektami wojny. To robiło wrażenie, ale wtedy jeszcze nie widziałeś znaczenia tego. Dopiero jak wjechałem do Buczy i Irpienia zobaczyłem, dlaczego ci ludzie tak się boją. Wtedy to zrozumiałem.

Co czujesz, kiedy to widzisz?

Wyobrażam sobie siebie i swoich najbliższych w tej sytuacji, jak byśmy reagowali, co byśmy robili. Staram się zawsze wyobrazić siebie w tym położeniu.

Ukraińscy żołnierze dzielą się z Tobą tym, czego doświadczały na froncie. Jak sobie z tym radzisz? To duży ładunek emocji.

Ci żołnierze chcą się podzielić tym, co przeżyli i bardzo często wysyłają mi filmy: „zobacz, jak ten Rusek rozstrzelał mi kolegę”. W pierwszych miesiącach robiło to na mnie duże wrażenie, teraz staram się tego głęboko nie chłonać. To często drastyczne obrazki - nie ma głowy, nie ma nóg, nie ma rąk. Z tym się człowiek musi oswoić, bo to jest cena tej wojny. Każdej wojny. Także tej toczącej się teraz, która jest obok nas. Nie ma dnia, żeby ktoś mi nie opowiadał o jakiejś masakrze lub żeby nie wysyłał mi materiałów z tym związanych.

Teraz szykujesz 82. konwój. Dokąd dotrzecie?

Właśnie się pakujemy. Powinniśmy wyruszyć 28 lutego. Tym razem nie jedziemy gdzieś daleko. Jedziemy prawdopodobnie gdzieś pod front zostawić trochę rzeczy dla dwóch brygad i wracamy. To będzie krótki, kilkudniowy wyjazd. Natomiast dopiero po 15 marca ruszamy wzdłuż linii frontu, od południa do północy, i wtedy będziemy również realizować szkolenia medyczne dla żołnierzy.

Razem z tobą jeździli Marcin Gortat, Maciej Florek Gleba, Will Blackburn z Anglii - weteran wojny w Iraku. Kto jeszcze jest w ekipie?

Cały czas jeździ z nami Will, brytyjski żołnierz, weteran wojny w Iraku. Napisał i wydał książkę „The war next door”, czyli „Wojna za następnymi drzwiami”. Bardzo ciekawie opisał swoją historię i niektóre nasze z konwojów i naszej pracy w Ukrainie. Książka dostępna jest na Amazon. Teraz powstaje drugi tom. W ekipie mamy byłych weteranów jednostek specjalnych, którzy z nami jeżdżą. Chociażby chłopaki z Formozy. Jeździli i pomagali nam, weterani Gromu, medycy różnego rodzaju z różnym doświadczeniem. W ostatnim czasie mocno się zaangażowała Ewa Stoch, żona Kamila Stocha.

Jak długo będziesz pomagać?

Dopóki starczy nam sił i środków. Dwa lata temu założyliśmy fundację. Specjalnie, żeby realizować pomoc bardziej oficjalnie. Niestety, nie mamy dużo środków tej fundacji, bo w przeciągu tych trzech lat na naszych zrzutkach zbieraliśmy 250 tys. zł. Na 82 konwoje to niemal nic, a samochody jeżdżą prywatne nasze. Nauczaliśmy się zbierać towar bezgotówkowo z różnych instytucji na świecie: karmę, sprzęt medyczny, sprzęt wojskowy. Jeśli chodzi o środki, to głównie zbieramy je na paliwo. Żeby wysłać jeden samochód do Donbasu z transportem, to trzeba mieć przynajmniej pięć tysięcy na paliwo. A bardzo często te samochody wracają uszkodzone i trzeba je naprawiać. Jeśli nasz konwój jedzie wzdłuż linii frontu, a często tak jest, to robi między 4500 km, a 6 000 km. Za nami pięć skasowanych silników, trzy skrzynie biegów, dwie turbiny, niejedno sprzęgło, kilkanaście opon, ale jakieś 600 ton zrealizowanych dostaw.

Kiedy skończy się ta wojna?

Tego nie wiem. W kwietniu 2022 roku stałem w oknie zniszczonego, ograbionego i zamienianego dziesięciopietrowego bloku w Irpieniu, smród drażnił nozdrza, chodnik był jeszcze we krwi. Patrzyłem na zniszczoną pobliską Buczę. Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że to dopiero początek.

MIŁOŚĆ I MORDERSTWO W RZYMIE

- Nie ma nic trudniejszego do grania niż Racine - zapewniał słynny aktor, reżyser i mim Jean Louis Barrault

Grażyna Antoniewicz

Dzisiaj w Teatrze Wybrzeże premiera tragedii „Brytanik” XVII-wiecznego dramaturga Jeana Racine’a w reżyserii Grzegorza Wiśniewskiego. Ten autor nie należy do najczęściej wystawianych na deskach polskich teatrów, a przecież to jeden z największych dramatopisarzy, francuski rywal Szekspira, postać owiana legendą, a „Brytanik”, jest jedną z najpiękniejszych i jednocześnie najmniej w nas znaną sztuką Racine’a.

„Utwór ten nie ma szczęścia - pisał Jerzy Adamski w książce >>Teatr z bliska <<. - Kiedy go przedstawiono po raz pierwszy, w grudniu 1669 roku w Paryżu mało kto przyszedł, bo właśnie na placu de Greve odbywała się publiczna egzekucja skazanego na śmierć znanego przestępcy”.

Grzegorz Wiśniewski po raz kolejny mierzy się tekstem Racine’a. Pamiętamy jego znako-

mitą „Fedrę” na sopockiej scenie, było to przedstawienie wybitne. Wtedy tytułową bohaterkę brawurowo zagrała Katarzyna Figura. Tym razem w jedną z głównych postaci - Agrypinę (matkę Nerona) wcieli się Dorota Kolak.

Ona walczy o władzę

W rozmowie z Moniką Mioduszecką Dorota Kolak powiedziała: Agrypina jest szczególna. Z Agrypiną jesteśmy w Rzymie. Zdarzyła mi się po drodze Hekabe, którą zagrałam w „Trojan-kach” w reżyserii Jana Klaty. To są antyczne heroiny, ale Agrypina i Hekabe to dwa bieguny. Hekabe była przede wszystkim matką, tak jak i Agrypina, ale jednak w zupełnie innej sytuacji życiowej. Hekabe jest pokorna, w rozpacz po stracie dzieci. W Brytaniku mamy matkę zabornicą, walczącą o władzę.

- Agrypina walczy o władzę. Ale czy ona walczy o siebie, czy



W tle relacji rodzinnych i politycznych intryg rozgrywa się opowieść o moralnych kosztach władzy...

o swojego syna? Bo to chyba nie jest takie oczywiste? (M.M).

- Myślę, że to pozostanie nieoczywiste. Grzegorz tak prowadzi wszystkie postaci, że nigdy nie jest to jakaś czarna-biała diagnoza. Zawsze pozostawia znaki zapytania, raczej stawia pytania niż daje odpowiedzi. Myślę, że motywem przewodnim w tym spektaklu będzie relacja matka - syn. Głównie to będzie oświetlone.

Otruć rywala

Brytanik to postać historyczna (żył 41-55 n.e.). Był synem cesarza rzymskiego Klaudiusza i Messaliny, został pozabawiony tronu na rzecz Nerona i na jego rozkaz otruty. Sztuka Racine’a ukazuje brutalne przejście tronu przez młodego Nerona, którego ambicja i manipulacje prowadzą do tragedii.

W tle relacji rodzinnych i politycznych intryg rozgrywa się

opowieść o moralnych kosztach władzy, zdradzie i ludzkiej naturze. Na scenie zobaczymy fascynującą grę namiętności i interesów, gdzie miłość staje się bronią, a zaufanie - walutą, opowieść o tym jak polityka łączy się z wielką miłością.

Świetnie przetłumaczony

- Ten dramat jest bardzo dobrze przetłumaczony przez Antoniego Liberę i jest to tekst, myślę, niezwykle komunikatywny - mówił w jednym z wywiadów dyrektor Adam Orzechowski.

W spektaklu królem Nero-nem będzie Piotr Biedroń, jako Brytanika zobaczymy Roberta Ciszewskiego, Katarzyna Dałek - wcieli się w postać Juni, Marek Tynda pojawi się na scenie jako Burrus, a Jarosław Tyrański zagra Narcyza.

Scenografię i kostiumy zaprojektował Mirek Kaczmarek.

REJSUNKI



PÜRCL (J. KASZUBSKI) - PĄCZKI

REKLAMA

0011276110

POMORSKA NAGRODA DLA LIDEREK I LIDERÓW KULTURY

NAGRODA TEODORY ✨



ZGŁOŚ SIĘ LUB NOMINUJ INNYCH

www.nck.org.pl



Instytucja Kultury Samorządu Województwa Pomorskiego



Franciscus

Str. 22-23

– Kiedy papież osiąga pewien wiek,
naturalne jest, że świat przygląda się jego
odchodzeniu – mówi dr Tomasz Terlikowski

PULS
#153

DR TERLIKOWSKI: WYDAJE SIĘ, ŻE PAPIEŻ SWÓJ URZĄD BĘDZIE PEŁNIŁ DO KOŃCA

– Papież Franciszek dużo mówił o synodalności i decentralizacji, ale zarządzał Kościołem żelazną ręką. Potrafił zwolnić kardynała w minutę. Jednocześnie wprowadził pojęcia, które na trwałe zmieniają Kościół – mówi dr Tomasz Terlikowski, filozof religii, publicysta RMF FM

Anita Czupryn

Papież Franciszek jest w szpitalu – kryzys zdrowotny papieża to sygnał do otwarcia nowego rozdziału w historii Watykanu?

W życiu każdego papieża przychodzi taki moment, który można nazwać kryzysem przedśmiertnym albo śmiertelnym – i tutaj nic się nie zmienia. Niewiele zmienia się też, niestety, w warstwie komunikacyjnej Watykanu. Trzeba jednak uczciwie powiedzieć, że obecnie o wiele więcej mówią lekarze, natomiast Watykan, jakby to łagodnie ująć – oszczędnie gospodaruje informacjami. To zresztą widać po porannych i wieczornych komunikatach. Rano czytamy, że wszystko jest fantastycznie, papież świetnie spędził noc. Jedyna zauważalna zmiana polega na tym, że komunikaty stopniowo się skracają. Na początku informowano, że zjadł śniadanie, siedział w fotelu i przyjmował gości. Potem tylko, że siedział w fotelu. Następnie, że dobrze przespał noc. Dopiero wieczorem – przynajmniej od końcówki tego tygodnia – pojawiają się bardziej rzetelne informacje, które płyną z kliniki Gemelli, od lekarzy. Na tyle, na ile papież jest osobą publiczną, ale jednocześnie przysługuje mu prawo do prywatności, te informacje są szczegółowe i stanowią pewną nowość. Poza tym niewiele się zmienia – Stolica Apostolska, a dokładniej Biuro Prasowe, robi wszystko, by powiedzieć jak najmniej o rzeczywistym stanie zdrowia papieża. Wciąż obowiązuje stara zasada: „Papież cieszy się świetnym zdrowiem”, po czym nagle i niespodziewanie umiera.

Jeśli stanie się najgorsze, czy Watykan poda tę informację tego samego dnia?

Z pewnością zostaną przeprowadzone standardowe procedury potwierdzające śmierć, ale nie sądzę, by taką informację można było długo utrzymać w tajemnicy. Powiedzmy sobie szczerze – gdyby to się wydarzyło, poza Watykanem wiedzieliby o tym także lekarze z kliniki Gemelli. To na tyle duża instytucja, że na pewno ktoś by się wygadał. Tym bardziej że w klinice Gemelli pracuje ogromna liczba ludzi – nie tylko osoby z najbliższego otoczenia papieża, ale także wielu innych pracowników. A ci już pokazali, że nawet jeśli Sala Stampa (Biuro Prasowe Watykanu) decyduje się na umiarkowanie otwarte informowanie o zdrowiu papieża, to oni – na jego prośbę – przekazują informacje dość szeroko.

Z czego wynika ta zmiana w sposobie komunikowania? Papież również sobie tego życzy?

Tak mówią lekarze, więc mogę się powołać na ich słowa. Wygląda na to, że papież rzeczywiście poprosił, aby przestać udawać, że jest absolutnie zdrowy i że wszystko jest w porządku. Widać to dość wyraźnie. Co więcej, zanim to się stało – zanim lekarze zaczęli otwarcie informować – mieliśmy do czynienia z pewnym „falowaniem” sytuacji zdrowotnej. Najpierw zauważyliśmy lekką poprawę. W środę u papieża była premier Giorgia Meloni i wyraźnie powiedziała, że czuł się lepiej. Potem jednak przyszło pogorszenie i lekarze zaczęli informować o jego stanie zdrowia. Ale zanim to nastąpiło, bardzo wiele episkopatów krajowych – w tym również Episkopat Polski – zaapelowało o modlitwę za papieża. To jest istotna różnica w porównaniu do wcześniejszych pobytów

Franciszka w szpitalu, kiedy takie apele nie były aż tak intensywne. Fala modlitewna rozeszła się bardzo szybko, co sugeruje, że informacja o poważnym stanie zdrowia papieża dotarła różnymi kanałami – niekoniecznie dyplomatycznymi czy tajnymi, ale po prostu wiadomość ta rozprzestrzeniła się w Kościele i na świecie – często się za niego modlić.

To też jest jakiś sygnał, prawda?

Tak, to sygnał. Ale trzeba też powiedzieć, że sytuacja jest dość oczywista – papież ma 88 lat, jest człowiekiem schorowanym, ma usuniętą część płuca. W ostatnich tygodniach widać było, że jego wygląd się zmienił, że wchodzi w okres późnej starości i pogłębiającej się choroby. Widać też było, że nie chciał się poddawać intensywnej terapii, choć choroba zaczęła się już około połowy stycznia. Wtedy pojawiły się pierwsze sygnały, że coś jest nie tak ze zdrowiem papieża. I nie chodzi tu tylko o samą starość, z której zresztą długo żartował, ale o coś poważniejszego. Teraz sytuacja jest jeszcze trudniejsza. Posłużę się słowami kardynała Dolana, który powiedział: „Drzwi są otwarte w obie strony” – to znaczy, że papież może zarówno umrzeć, jak każdy inny człowiek, jak i wyzdrowieć. Jednak nawet jeśli wyzdrowieje, trzeba jasno powiedzieć, że obustronne zapalenie płuc, początki zakażenia nerek – a obecnie mówi się o delikatnym zakażeniu – w tym wieku i przy takim stanie zdrowia nie pozostaną bez śladu. Jeśli ktoś wierzy, że papież wróci do pełni sił i w ciągu trzech, czterech tygodni będzie sprawował swoją funkcję jak wcześniej, to prawdopodobnie się myli. To jest moment,

w którym zaczyna się proces odchodzenia papieża – i to w instytucji, która nie ma ustalonej procedury emerytury. Papież może się na nią zdecydować, ale to wyłącznie jego wola, nic więcej. A kiedy papież osiąga pewien wiek, naturalne jest, że świat przygląda się jego odchodzeniu.

Media wspominają o tzw. dokumencie rezygnacyjnym, który papież Franciszek miał podpisać przed objęciem pontyfikatu.

Tak, sam papież o tym mówił. Taki dokument podpisał wcześniej Benedykt XVI, prawdopodobnie także Jan Paweł II oraz Paweł VI. Trzeba jednak wyjaśnić, co on oznacza. Nie jest to dokument, w którym papież wyznacza sobie termin rezygnacji ani coś, z czego można skorzystać w dowolnym momencie. Papież w każdej chwili może sam poinformować o swojej decyzji o ustąpieniu – to akt jego woli. Dokument ten jest przewidziany na bardzo specyficzne sytuacje wynikające z wyjątkowego statusu papieża w systemie prawnym. Prawo kanoniczne nie przewiduje bowiem procedury odwołania papieża – coś takiego po prostu nie istnieje. I teraz wyobraźmy sobie sytuację, na którą przygotowany jest ten dokument. Na przykład, jeśli papież podczas operacji lub w trakcie kryzysu oddechowego – o którym ostatnio słyszeliśmy – traci przytomność i zapada w długotrwałą śpiączkę albo znajduje się w stanie wegetatywnym. Żyje, ale nie ma z nim żadnego kontaktu. Przypomnijmy, że na przykład w przypadku premiera Izraela Ariela Szarona taki stan trwał wiele miesięcy. I w sytuacji, w której mamy żyjącego papieża, ale w struktu-

Dziennik Bałtycki
Piątek, 28.02.2025

rze monarchii absolutnej, gdzie nie ma procedury jego odwołania, Kościół znalazłby się w trudnym położeniu. To właśnie na taką okoliczność jest ten dokument.

Nawet jeśli papież wyjdzie z choroby, to fakt, że ma 88 lat, może skłonić go do ustąpienia?

Papież Franciszek krótko po objęciu pontyfikatu mówił, że jego pontyfikat będzie trwał krótko, ale raczej odnosił się do przekonania, że sam nie będzie żył długo. Tymczasem jego pontyfikat wcale nie jest krótki – nie jest też bardzo długi, ale pamiętajmy, że papież nie obejmował urzędu jako młody człowiek. W tej samej rozmowie wspomniał również, że postać papieża-emeryta, papieża-seniora, gdzie na trwałe do tradycji Kościoła. Jednak z tej wypowiedzi nie wynikało wprost, że on sam zamierza kiedyś przejść na emeryturę – można było się tego domyślać, ale tylko na bardzo odległych przesłankach. Z kolei dosłownie kilkanaście miesięcy temu, podczas spotkania z jezuitami w Demokratycznej Republice Konga – bo papież ma taki zwyczaj, że gdy udaje się w pielgrzymkę, spotyka się z jezuitami, jeśli są w danym kraju...

Ponieważ sam jest jezuitą.

Tak. I są to spotkania, których treść poznajemy później, nie od razu, tylko po jakimś czasie. Z zapisu tej rozmowy wynika, że jego zdaniem papież powinien pełnić swój urząd dożywotnio, czyli nie powinien rezygnować. Wydaje się więc, że jeśli wyjdzie z tej choroby i będzie w stanie się komunikować oraz sprawować swój urząd, to będzie go pełnił do końca. Mówię to ostrożnie, bo wszystko zależy od tego, w jakim będzie stanie. Pamiętajmy, że papież cały czas jest leczony przez bardzo dobrych specjalistów. Wciąż trwają poszukiwania adekwatnej metody leczenia. Jeśli jednak umrze, to oczywiście nie będzie mowy o żadnej dymisji – nastąpi stwierdzenie śmierci i rozpocznie się konklawe. Natomiast jeśli wyjdzie z tej choroby, to nie wiemy, w jakim stanie. Czy będzie w stanie mówić? Jak będzie się komunikował? To wszystko pozostaje kwestią otwartą. Charakterologicznie – i to wynika zarówno z jego własnych wypowiedzi, jak i z opinii jego współpracowników – Franciszek nie jest człowiekiem, który chciałby lub potrafiłby zrezygnować z urzędu. Myśli w tej kwestii podobnie jak Jan Paweł II. Użyję tu sformułowania Jana Pawła II, które – wydaje mi się – jest bliskie także Franciszkowi: „Z krzyża się nie schodzi”. Oczywiście wiele może się jeszcze wydarzyć. Różny może być stan zdrowia

papieża – ale jeśli wyjdzie z tej choroby, to nie należy się spodziewać, że sam zrezygnuje.

Jak Pan ocenia zmianę wizerunku Kościoła pod rządami papieża Franciszka, jeśli chodzi o jego reformy i otwarcie się na nowe środowiska wiernych?

To skomplikowane. Papież Franciszek jest z jednej strony bardzo lubiany przez część wiernych, wręcz uwielbiany, i ma bardzo sprawne służby prasowe, które skutecznie budują jego wizerunek. Z drugiej strony, oczekiwania, które wiązała z nim – nazwijmy to – bardziej progresywna część Kościoła, nie zostały w pełni spełnione. Trzeba przy tym zaznaczyć, że ta grupa nie ma wielkiego znaczenia w Kościele, ale tak ją nazwijmy. Wiele osób czuje rozczarowanie, uważa, że papież wprowadzał zmiany zbyt wolno, albo że na niektóre reformy w ogóle się nie zdecydował. Z drugiej strony mamy też całą rzeszę wiernych – nazwijmy ich konserwatywnymi – którzy patrzą na ten pontyfikat bardzo krytycznie. Dla nich to czas rewolucyjnych zmian, odchodzenia od tradycyjnego nauczania, a nawet, w ich ocenie, pontyfikat wyjątkowo nieprzychylny wobec tradycjonalistów.

Z czego konkretnie wynika to niezadowolenie obu stron?

Wynika z tego, że papież niewątpliwie chciał przeprowadzić wiele reform i rzeczywiście je rozpoczął. Jednak – podobnie jak każdy jego poprzednik i każdy przyszły papież – wiedział, że zbyt radykalne zmiany, wprowadzane zbyt szybko, bez pozostawienia punktów wyjścia dla tych, którym one nie odpowiadają, mogłyby doprowadzić do schizmy w Kościele. Dlatego postępował ostrożnie. Na przykład, choć wprowadził reformy, które w Polsce często nie są przyjmowane do wiadomości – jak „Amoris laetitia”, w której dopuścił osoby rozwiedzione w nowych związkach do Komunii Świętej bez konieczności życia we wstrzemięźliwości seksualnej – to równocześnie nie wymagał ich wprowadzenia w każdym Kościele lokalnym. Wiedział, że zbyt duży nacisk na tę kwestię mógłby doprowadzić do rozłamów. Podobnie było, gdy prefekt Dykasterii Nauki Wiary, kardynał Víctor Manuel Fernández, dopuścił błogosławieństwo osób w związkach o nieregulowanej sytuacji życiowej, w tym jednopłciowych. Nie wchodząc teraz w dyskusję, czy błogosławiono pary, czy tylko osoby w tych związkach – z perspektywy samych zainteresowanych nie ma to większego znaczenia – sprzeciw wyrazili biskupi afrykańscy, mówiąc, że u nich tego nie będzie. Papież



FOT. IPA/SIPA USA/EAST NEWS

Dr Terlikowski: Jeśli ktoś wierzy, że papież wróci do pełni sił i w ciągu trzech, czterech tygodni będzie sprawował swoją funkcję jak wcześniej, to prawdopodobnie się myli

odpowiedział im: „U was tak nie będzie” – i sprawa została zamknięta. Takich przykładów jest więcej. Franciszek otwiera pewne furtki, wprowadza zmiany, ale równocześnie szybko je ogranicza lub zgadza się na „Kościół różnych prędkości”, by uniknąć podziału. Na przykład nie wprowadził diakonatu kobiet, ale jego pontyfikat zakończył wieloletni proces teologicznego i prawnego przygotowania do tej zmiany. Wszystko jest gotowe. To przypomina zasadę Czechowa, który pisał: – „Jeśli w pierwszym akcie na ścianie wisi strzelba, to w trzecim na pewno wystrzeli”. Ostatecznie to kwestia czasu – wszystko jest przygotowane, teraz pozostaje pytanie, kiedy zmiana nastąpi. Po raz pierwszy w historii świeccy mężczyźni i kobiety – siostry zakonne, choć nie są kapłanami – objęły najwyższe urzędy w Stolicy Apostolskiej. Mamy kobietę jako prefektkę Dykasterii ds. Życia Konsekrwanego i świeckiego mężczyznę na stanowisku prefekta Dykasterii ds. Komunikacji. To zmiany, które dzieją się powoli, ale w instytucji takiej jak

Kościół nawet powolne reformy potrafią robić rewolucyjne wrażenie.

Na ile papież Franciszek odszedł od tradycji związanych z pontyfikatem? Faktycznie dokonał zmian, czy tylko dostosował je do współczesności? Jeśli pyta pani o jego sposób sprawowania władzy papieskiej, to jest on bardzo ciekawy. Papież dużo mówi o konieczności decentralizacji i synodalności, podkreśla, że pewne decyzje powinny zapadać na poziomie lokalnym, i faktycznie wprowadza w tym kierunku pewne zmiany. Ale jednocześnie jego sposób sprawowania władzy jest o wiele bardziej jednowładczy niż w przypadku Benedykta XVI czy Jana Pawła II. Pod względem stylu zarządzania jest typowym jezuitą. Jezuiści uchodzą za zakon niezwykle progresywny – choć nie zawsze to prawda – i wewnętrznie mają dużą wolność. Ale jednocześnie prowincjał i generał zakonu mają ogromną, demokratycznie niekontrolowaną władzę. Papież Franciszek działa podobnie. Dla porównania – Benedykt XVI był intelek-

tualistą, czasem ostrożnym, choć potrafił być zdecydowany. Ale nie zarządzał Kurią Rzymską żelazną ręką. Jan Paweł II również nie miał takiego stylu zarządzania. Natomiast Franciszek potrafił zwolnić kardynała dosłownie po minutowej rozmowie – tak było w przypadku kardynała Gerharda Müllera. Możemy zostawić na boku pytanie, czy miał rację, ale faktem jest, że wezwał go na spotkanie i po minucie go zwolnił. To nie jest najbardziej synodalny model zarządzania. A paradoksalnie to papież, który zarządza Kuria Rzymską nieformalnymi metodami – otaczając się zaufanymi współpracownikami i wpływając na decyzje bez formalnych nominacji – wprowadził do Kościoła dwa kluczowe pojęcia: synodalność i decentralizację. I niezależnie od tego, jak długo potrwa jego pontyfikat, te idee pozostaną i będą kształtować kolejne pontyfikaty.

Ruszyła giełda nazwisk następcy papieża Franciszka. W jakim kierunku pójdą zmiany w Kościele – bardziej wewnętrzne czy zewnętrzne?

Odpowiedź jest dość prosta: wielu kardynałów chciałoby teraz pewnego uspokojenia sytuacji. Ale trzeba pamiętać, że 79 procent kardynałów elektorów, czyli prawie 80 procent, zostało mianowanych przez Franciszka. Oznacza to, że następcę wybiorą kardynałowie wskazani przez niego. Co więcej, Franciszek bardzo uważał, aby jawnych przeciwników swojego pontyfikatu – a tacy byli i są wśród biskupów – nie mianować na kardynałów, nawet jeśli zajmowali ważne stolice biskupie, tradycyjnie związane z kapeluszem kardynalskim. Doskonale to widać w kolegium amerykańskim – wszyscy nowi kardynałowie są zwolennikami linii Franciszka. Oczywiście w różnym stopniu: jedni podzielają jego podejście duszpasterskie, inni zgadzają się z nim w innych kwestiach, ale wśród nich nie ma jawnych przeciwników. Dodatkowo papież powołał wielu kardynałów z globalnego Południa, którzy mają jeszcze inny model myślenia o Kościele. To oni będą wybierać nowego papieża – i to będzie miało kluczowe znaczenie.

Czeka nas nowy rozdział czy raczej kontynuacja?

Wszystko wskazuje na kontynuację. Być może nowy pontyfikat będzie spokojniejszy, bardziej precyzyjny komunikacyjny, ale wciąż będzie to kontynuacja Franciszka, a nie jego poprzedników. Oczywiście nie wiem, jakie imię przyjmie nowy papież, ale raczej możemy spodziewać się Franciszka II, a nie Benedykta XVII czy Jana Pawła III. To jeden istotny element. Nie oznacza to jednak, że zawsze tak będzie – trzy pokolenia duchownych, które dziś są młode i jeszcze nie zostały biskupami, to często pokolenie Benedykta XVI. W przyszłości to z nich będą wybierani kardynałowie, więc dynamika może się zmieniać. Ale na tym etapie wszystko wskazuje na Franciszka II.

Które nazwiska pojawiają się najczęściej?

Franciszek zadbał o to, by dziekanem Kolegium Kardynalskiego został kardynał Giovanni Battista Re. On sam już nie głosuje – jest starszy niż papież – ale będzie odgrywał ważną rolę. To człowiek, który uchodzi za człowieka Franciszka, więc to kolejna gwarancja, że nie będzie żadnych wielkich niespodzianek. Jeśli chodzi o konkretne nazwiska, to najczęściej przewijają się dwa – obaj to Włosi. Pierwszy to kardynał Pietro Parolin, obecny sekretarz stanu, nazywany „wicepapieżem”. Jest człowiekiem z linii Franciszka, choć bardziej umiarkowany, spokojniejszy i precyzyjniejszy w komunikacji. Drugi to kardynał Matteo Zuppi – jeszcze bardziej „franciszkowy”, bardziej radykalny

w swoim podejściu, związany ze Wspólnotą Sant’Egidio. Był wysłannikiem specjalnym papieża do Ukrainy i Rosji, próbował prowadzić rozmowy pokojowe – choć bez większego sukcesu, ale jednak próbował. Czy Zuppi ma szansę? Jest wymieniany jako drugi, ale jego wybór byłby raczej mało prawdopodobny, bo oznaczałby dalsze napięcia i brak uspokojenia sytuacji. Jednak wybór nowego papieża to dynamiczny proces. Pamiętajmy, że wielu kardynałów, zwłaszcza tych z odległych części świata, dobrze się nie zna. To oznacza, że ostateczna decyzja zależy od tego, komu uda się zbudować większość. Ale jedno jest niemal pewne: to raczej nie będzie papież antyfranciszkowy.

Kościół pójdzie drogą bardziej radykalnych reform?

Nie, ponieważ te same czynniki, które miały wpływ na decyzję Franciszka, będą odgrywać rolę także przy jego następcy. Każdy kolejny papież wie, że zbyt szybki ruch w jakimkolwiek kierunku – zarówno konserwatywnym, jak i mocno progresywnym – niesie ryzyko schizmy. Zresztą katolicyzm nie jest jedynym wyznaniem borykającym się z tym problemem. Anglikanie od kilkudziesięciu lat balansują na granicy schizmy – de facto już do niej doszło, choć de iure nie została ogłoszona. Niedawno rozpadł się największy protestancki Kościół w Stanach Zjednoczonych – Zjednoczony Kościół Metodystyczny podzielił się na Zjednoczony Kościół Metodystyczny i Globalny Kościół Metodystyczny. Stało się to właśnie na tle sporów o małżeństwa homoseksualne oraz wyświęcanie na pastorów osób homoseksualnych i transpłciowych. Kościół katolicki znajduje się dokładnie w tej samej sytuacji. Mamy Kościoły Globalnego Południa, zwłaszcza afrykańskie, które są absolutnie przeciwne jakimkolwiek zmianom w kwestii osób homoseksualnych – wręcz radykalnie sprzeciwiają się jakimkolwiek ustępstwom. Mają natomiast zupełnie inny problem – wielożeństwo. Tam trwają dyskusje, co zrobić z mężczyznami pozostającymi w poligamicznych związkach, którzy chcą się ochrzcić – jaką propozycję im przedstawić? Z kolei mamy Kościoły zachodnie – nie tylko niemiecki, ale także amerykański, francuski, brytyjski, holenderski, belgijski, a częściowo nawet włoski, choć często się o tym zapomina. One zareagowałyby bardzo nerwowo, gdyby nowy papież próbował ograniczać reformy Franciszka albo odbierać prawa osobom homoseksualnym w Kościele. Dlatego – moim zdaniem – kolejny papież będzie kontynuował linię Franciszka: ostrożne zmiany, wprowadzane bardzo małymi krokami. Są one na tyle powolne,

że konserwatyści udają, iż ich nie ma, zaprzeczają ich istnieniu albo uznają, że „to nas nie dotyczy”. Dzięki temu nie dochodzi do gwałtownych reakcji po ich stronie. Ale jednocześnie nie będą to działania radykalne, ponieważ te mogłyby doprowadzić do schizmy.

Franciszek jest znany ze swojego bliskiego kontaktu z wiernymi. Ten model papieża jako duchowego lidera pozostanie?

Myślę, że nie ma od tego odwrotu – żaden kolejny papież nie będzie mógł zrezygnować z tej roli. Mniej więcej od początku XX wieku, a już na pewno od pontyfikatu Jana Pawła II, papież nie jest tylko widzialną głową Kościoła, ale także globalnym autorytetem duchowym. Jan Paweł II dodał do tej funkcji element show, wprowadzając styl dynamicznego, charyzmatycznego przywództwa. Nawet Benedykt XVI, który widać było, że wcale nie czuł się w tej roli dobrze – bo nie był typem człowieka, który uwielbia wiwatujące tłumy – musiał się do niej dostosować. A przecież Jan Paweł II był naturalnym liderem – był aktorem, który potrafił zarządzać tłumem. W podobnej roli odnajduje się Franciszek.

Dlaczego nie może od niej odejść?

Bo wszyscy mają świadomość, że tak wygląda współczesna kultura medialna i papież musi się do niej dostosować. Każdy kolejny papież oczywiście nada tej funkcji swoje cechy charakterologiczne – tak jak Franciszek zrezygnował z pewnych ozdobników, pozostawił srebrny krzyż zamiast złotego i nie nosił specjalnych butów. Dla kontrastu Benedykt XVI czasem sięgał po starsze stroje; każdorazowo wywoływało to dyskusje. Nowy papież również nadsz懿 swój osobisty ryd, ale nie ucieknie od wymogów współczesnego wizerunku papieża. Trudno wyobrazić sobie, by nie odbywał pielgrzymek. Oczywiście, jeśli byłby człowiekiem ciężko chorym, mogłoby to ograniczyć jego aktywność – ale to bardzo mało prawdopodobne. Kardynałowie raczej nie wybiorą na papieża osoby, której stan zdrowia uniemożliwiałby pełnienie tej funkcji. Nie sądzę, by nowy papież zrezygnował z wielkich przemówień, a tym bardziej ze spotkań z wiernymi. Trudno to sobie wyobrazić. Zresztą kardynałowie będą szukać kogoś, kto będzie zdolny do tej roli. To już nie są czasy, w których można było wybrać na papieża mnicha-ka-medułę, który całe życie spędził w kontemplacji i modlitwie. Wszyscy wiedzą, jakie są wymagania tej funkcji i że nakłada ona na papieża cały szereg obowiązków, od których nie da się uciec, niezależnie od osobistych cech charakteru.

Agaton Koziński

BUTY, METALE I KULISY
GEOPOLITYCZNEJ GRY

W

iecie Państwo, że buty dzielą się na dwie kategorie – ładne albo wygodne. Rzadko kiedy zdarza się mieć dwa w jednym. Z komentarzami jest trochę podobnie – są ciekawe albo ważne. Zawsze więcej uwagi przykuwa komentarz do barwnej wypowiedzi polityka, wyzłosciwianie się nad kolejnym odcinkiem sejmowego teatru. Procesy biegnące poniżej tego politycznego spektaklu rzadko kiedy wychodzą na powierzchnię. Ale akurat w ostatnich dniach stało się inaczej. Geopolityczne napięcia wygenerowane przez Donalda Trumpa w ostatnich tygodniach pozwoliły nam zajrzeć za kulisy tego teatru, lepiej zrozumieć motywacje głównych graczy. A skoro tak, to spróbujmy je przeanalizować.

W ramach obecnego cyklu napięć amerykańsko-europejskich najczęściej mówi się o wartościach. J. D. Vance nawrzucał Europejczykom w Monachium, że zapomnieli, czym właściwie europejska demokracja być powinna. W reakcji Vance'owi (jeszcze w Monachium) nawrzucał Niemcy, a potem (już w Białym Domu) Trumpowi Emmanuel Macron. Ale obok tej całej retoryki o wartościach i pryncypiach pojawił się nowy wątek: posiadane przez Ukrainę metale ziem rzadkich. I trudno się uwolnić od przekonania, że umowa na ich eksploatację to dużo większa kość niezgody między USA i Europą niż spór o rolę we wzajemnych relacjach Greta Thunberg i Elona Muska.

*

Wbrew nazwie metale ziem rzadkich wcale nie występują rzadko. Ten termin ukuto w XIX w., gdy ówczesny stan wiedzy utrudniał ich odkrywanie (zainteresowanie wtedy też było niewielkie). Dziś już wiadomo, że jest ich całkiem sporo oraz że są rozsiane mniej więcej równolegle po całym globie. Kłopot z nim jest inny – bardzo trudno je wydobywać i przygotowywać do obróbki. To brudna robota. Dosłownie, gdyż to są toksyczne pierwiastki, a gdyby Greta zobaczyła, jak wygląda proces ich rafinacji, padłaby na zawał serca. To z tego powodu nie eksploatuje się tych złóż (całkiem pokaźnych) w Europie. Amerykanie to robią – ale już ich obróbkę zlecają podwykonawcom poza granicami USA. Łatwo się domyślić, jak komplikuje to cały proces i jak czyni go wrażliwym na wszelkiego rodzaju geopolityczne napięcia. To konsekwencja przede wszystkim tego, że ten rynek zdominowali Chińczycy – oni kontrolują rynek obrotu tymi metalami, przez ich ręce przechodzi 77 proc. tych pierwiastków. Bez nich rozwój właściwie wszystkich obszarów gospodarki jutra – od smartfonów, przez turbiny wiatrowe, auta elektryczne po drony bojowe – jest niedostępny. Należy to rozumieć dosłownie: dziś Pekin kontroluje niemal 80 proc. rynku w obszarach, które przesądzą o tym, jakie miejsca będą miały poszczególne kraje w globalnej hierarchii w 2050 r. To najlepiej pokazuje skalę wyzwania.

*

Dziś Wołodymyr Zełenski ma podpisać z Trumpem umowę o tym, że USA zyskają dostęp do ukraińskich metali ziem rzadkich. Swoje też próbuje tutaj ugrać Europa, więc kolejnych zwrotów akcji wykluczyć nie można. Można na to patrzeć jak na zerowanie na słabościach innych – ale też warto pamiętać, że polityka międzynarodowa to nie jest seminarium o altruizmie, rzadko kiedy okazuje się ona grą, w której wszyscy wygrywają. I warto podkreślić jeszcze jedno: USA zyskają realne zainteresowanie tym, by pilnować porządku na Ukrainie, bo w ten sposób zyskują możliwość ograniczenia globalnej roli Chin na rynku metali ziem rzadkich. Nie jest to polityka ładna, elegancka. Ale może się okazać skuteczna – także z perspektywy Kijowa.

Adam Bula

CZY MOŻNA KOCHAĆ POLSKĘ,
NIE LUBIĄC KIEŁBASY

S

puściłem z oczu rzeczywistość na chwilę, i wystarczyło, bym musiał mozolnie potem ustalać, czy białe dalej jest białe i co w tym czasie porabiałoby czarne. Serio – z marszu dałem się wkręcić w przeróbkę okładki znanego tygodnika, gdzie żona kandydata zapewnia: „Mój mąż kocha kielbasę”. W oryginale jest: „mąż kocha Polskę”. Jesteśmy w połowie dowcipu, bo zaraz potem okazało się, że kandydat dawał się właśnie wkręcać w kielbasę, tyle całkiem w jego gębie, ile całkiem nie w porę.

Naprawdę zależy mi, żebyście zabrali się ze mną w rekonstrukcję 72 godzin (piszę to w środę, 26.02, wieczorem). Nie twierdzę, że wpadłem w jakąś króliczą norę od Alicji. Dowiodę za to, że otacza nas stado wariatów usiłujących nam wmówić, że WŁAŚNIE STAMTĄD WRÓCILI.

Zimna analiza idzie tak. Karol Nawrocki do teraz jest pustym naczyniem, do którego sztabowcy PiS wleją poglądy jakoś do połowy marca – takie, jakie im akurat wyjdą z sondaży. Na razie Karol ma robić za swojskiego junaka i patriotę.

Tygodnik „Sieci” braci Karnowskich z kolei znany jest z tego, że ściga się z „Gazetą Polską” rodziny Sakiewicza na bardziej porąbane, chamskie, głupie, whatever tu wstawisz – okładki.

Gdybym w takim krajobrazie zobaczył 1. stronę tygodnika „Sieci” z żoną Nawrockiego mówiącą: mój mąż kocha banany – to od razu wiedziałbym, że to złośliwa podróbka. Bo banan, jako taki, z istoty jest transseksualny, więc jakby odpada. Za to kielbasa jest w samym środku tej dość buraczanej w sumie opowieści o swojskim, ale jednak trochę lepszym Karolku – wielkim polskim patriotcie.

Więc gdyby zestresowanym z powodu lipnych faktur, o których oni wiedzą, ale jeszcze nie wiedzą, czy już wiedzą o nich „bodnarowcy” – gdyby tym patriotom przyszło na myśl, że kielbasa jakoś pomoże, to wszyscy wrzuciliby w ciąg godzinny do sieci fotki, że właśnie tę kielbasę żrą, a kto akurat nie żre, ten jest tuskowo / unijno / niemiecko / ruski zdrajca.

Tyle teoria. Bo nadrabiając informacyjne braki szybko musiałem wpaść na filmik Nawrockiego,

na którym kandydat tę kielbasę na wizji literalnie nadgryza. To migawka ze standardowej, kampanijnej, minutowej sklejki: kandydat w gronie zwolenników, kandydat przemawia, kandydat ściska, kandydat... zwiedza masarnię i kosztuje miejscowego produktu.

Poszłoby bokiem, gdyby nie trzeźwa w sumie uwaga, że kandydat wrzuca ten filmik w dniu trzeciej rocznicy wybuchu wojny na Ukrainie, o czym z kolei kandydat ani be, ani me. Co wpisuje się w uwagę wyżej, że kandydat dopiero ma powiedzieć, co myśli, bo dotychczasowe próby słabo szły (nie podpisał kompromisu aborcyjnego, Ukraina won z Unii, szczepionki są be i na polio i na palio, i nieważne, że nie widzę różnicy, bo za to wyciskam 150 kg z przysiadu... (albo siadu, kto normalny to ogarnia?).

Zaraz obok rzucają mi w oczy akcję: Tusk gra w ping-ponga i obiera ziemniaki, zamiast przewodzić Europie, a polska prezydencja w Unii to kpina i festiwal straconych szans, a USA i Trump liczy się tylko z kolegami z PiS. OK, to jeszcze łapię, bo ostatnie, co widziałem, to apele Tuska, by nie wyśmiewać prezydenta Dudy za 10-minutowy szczyt na zapleczu z prezydentem Trumpem. Więc jest akcja – jest reakcja.

Ale ten spicz z Mateckim – no to już sorry. To, co teraz przeczytacie – pochwałę się – to zdanie, które rzuciłem temu ohydnyemu hejterowi wtedy, kiedy jeszcze był „mocny”, za rządów jego kumpli z „Solidarnej Polski”: nie ma w polskiej przestrzeni publicznej większego śmiecia niż Dariusz Matecki. Człowiek zły, brzydki i skorumpowany. EOT

I on mi teraz rzuca frazę, że nie ucieknę za granicę przed zarzutami, choćby mógł, bo ma małe dziecko i chce mu się pochwalić, jaki twardziel był. Nie tak jak Romanowski. (Choć akurat Romanowski na etapie, na jakim dziś jest Matecki – mówił Matecki, że nie ucieknę).

I że Matecki nie będzie komentował zarzutów prokuratury, bo to stek bzdur, a on jest ci przesładowany za politykę.

Policz znaki czytelniku. Proste: „nie kradłem” – zajmuje naprawdę mniej miejsca niż te jego obszerne #prdl o prześladowaniach za poglądy.

I tak, mega mi się podoba, że złodzieje i siewcy nienawiści zaczynają mieć realne kłopoty.

FOTOkomentarz tygodnia



24 LUTEGO, WASZYNGTON

W poniedziałek w Białym Domu z Donaldem Trumpem spotkał się Emmanuel Macron. Jego wizyta wywołała wiele dyskusji, choć kwestii Ukrainy nie pomogła rozwiązać. Ale to być może uda się Wołodzyrzy Zelenskiemu. Ukraiński prezydent będzie w Waszyngtonie w piątek, by sfinalizować umowę z USA o eksploatacji złóż metali rzadkich. Czy tym ruchem zdoła przekonać Trumpa, że warto wspierać Kijów w egzystencjalnej wojnie z Rosją?

FOT. LUDOVIC MARIN/ASSOCIATED PRESS/EAST NEWS



FOT. BARTEK SYTA

27 LUTEGO, POLSKA. Pewnie po tłustym czwartku już Państwo na paczki patrzeć nie mogą – ale warto podkreślić, że ta polska tradycja cały czas ma się świetnie. I przypomina, że karnawał się kończy



FOT. PAP/GRZEGORZ MOMOT

26 LUTEGO, ZAKOPANE. Do wiosny daleko, w części województw trwają jeszcze ferie zimowe, ale w Zakopanem pojawił się pierwszy promyk wiosny: krokusy. Gdy się pojawiają, od razu robi się ciepiej



FOT. PAP/MARIAN ZUBRZYCKI

27 LUTEGO, WARSZAWA. Równe 80 lat kończy Daniel Olbrychski, jeden z najwybitniejszych aktorów polskich. Stworzył niezapomniane kreacje m.in. w „Potopie”, „Ziemi Obiecanej”, „Panu Wołodyjowskim”, „Salt”. Ale też dużo go jest poza filmem i teatrem. Jeden z najbarwniejszych Polaków ostatnich dekad

REKLAMA

0011267121

Najlepszy zawód na świecie otodom

Rozmowa z Magdaleną Cebulą, dyrektorką zarządzającą Biura Nieruchomości Tyszkiewicz, wyróżnionego w TOP 100 najlepszych biur nieruchomości w rankingu Otodom Lider Nieruchomości.



Jak zaczęła się historia Państwa biura nieruchomości?

W 1999 roku pan Łukasz Tyszkiewicz, założyciel i właściciel biura, jako bardzo młody człowiek postanowił rozpocząć swoją przygodę z nieruchomości. Chciał stworzyć biuro nieruchomości wyróżniające się na tle innych, czyli małych 2- lub 3-osobowych. Od początku zaczął budować zespół i strukturę, których celem było dostarczenie klientom nowej jakości obsługi. Lata dwutyśne to czas, w którym rządził druk, a Internet i telefony komórkowe dopiero raczkowały. Biuro Nieruchomości Tyszkiewicz postawiło na innowacyjność i wewnętrzny marketing, który pozwalał szybko reagować na zmiany zachodzące na rynku. Dzięki temu po pięciu latach od startu zespół liczył już 20 pracowników. Można powiedzieć, że założyciel marki to odważna osoba, które łamała wszelkie stereotypy.

Co dziś jest elementem, który wyróżnia Państwa na trójmiejskim rynku?

Jesteśmy dużym biurem, a nasz zespół liczy ponad 70 osób. Nasza marka to 26 lat historii nieustającego progresu. Działamy kompleksowo i opiekujemy się klientami od A do Z, włączając w to doradztwo kredytowe czy prawne. Wciąż mocno stawiamy na działania marketingowe – korzystamy m.in. z kanałów social media, online marketingu, narzędzi video. Nasze oferty zyskują coraz wyższą jakość. Dzięki temu docieramy z ofertami naszych klientów szeroko i dajemy im skuteczne, nowoczesne narzędzia.

Jakie są Państwa dalsze plany rozwoju?

Naszą największą wartością jest zespół z wieloletnim doświadczeniem i to on warunkuje nasz dalszy rozwój. W Biurze Nieruchomości Tyszkiewicz dużą część agentów stanowią osoby, które pracują z nami dłużej niż 5 czy 10 lat. Są profesjonalistami z bogatym doświadczeniem, co sprawia, że często trafiają do nas klienci z polecenia, zadowoleni z ich obsługi. Jesteśmy z tego naprawdę dumni i cieszymy się z takiej ścieżki rozwoju.

W ciągu najbliższych kilku lat najprawdopodobniej będzie

nas jeszcze więcej. Systematycznie otwieramy nowe oddziały, które należą do nas i nie są placówkami franczyzowymi – chcemy mieć pewność, że każde nasze biuro niesie ze sobą tak samo wysoką jakość. Jesteśmy obecni w Gdańsku, Gdyni, Wejherowie, Kościerzynie, Bytowie, Chojnicach i Starogardzie Gdańskim, a wkrótce również w Słupsku.

Kim najczęściej są klienci wybierający Biuro Nieruchomości Tyszkiewicz i jakie mają potrzeby?

W związku z tym, że jesteśmy dużą agencją, jesteśmy w stanie odpowiedzieć na różne potrzeby klientów – zarówno tych poszukujących małej działki na domek rekreacyjny, tych zmieniających mieszkanie na większe, jak i dużych deweloperów. Obsługujemy także segment premium i nieruchomości komercyjnych. Bardzo dobrze czujemy się także w segmencie domów i działek. Często trafiają do nas również osoby, które marzą o apartamencie wakacyjnym, swoim drugim domu nad morzem. Tak więc trafiający do nas klienci mają bardzo różne potrzeby, ale każdy z nich oczekuje przede wszystkim bezpieczeństwa.

Wśród klientów indywidu- alnych poszukujących idealnego domu lub mieszkania często zdarza się, że nie mają w pełni sprecyzowanych oczekiwań i nie do końca uświadamiają sobie swoje rzeczywiste potrzeby. W takiej sytuacji rola dobrego agenta nieruchomości przypomina nieco pracę psychologa – powinien zadawać właściwe pytania, uważnie słuchać i analizować, aby odkryć, co tak naprawdę jest dla klienta kluczowe.

W takim razie, jaki powinien być idealny agent nieruchomości?

Przed wszystkim powinien posiadać dużą wiedzę merytoryczną, bo bez niej po prostu sobie nie poradzi. Natomiast kluczową cechą osobowości jest otwartość na drugiego człowieka, jego potrzeby, na zdobywanie nowej wiedzy.

Pod względem innych predyspozycji uważam, że tak samo jak różnorodni są klienci, różnorodni powinni być agenci nieruchomości. Nie każdy potrzebuje przebojowego i mocno ekstrawertycznego pośrednika – niektórzy klienci bardziej cenią spokojne usposobienie i cierpliwość. Z kolei inni wyżej cenią żywiołowość i potrzebują kogoś,

kto będzie im blisko towarzyszył na każdym etapie. Ważne, żeby agent był przy tym autentycznie sobą.

Jaką radę dałaby Pani osobie, która chciałaby postawić pierwsze kroki w tym zawodzie?

Bycie agentem nieruchomości to najlepszy zawód, jaki można sobie wybrać. Daje doskonałe perspektywy rozwoju i duże możliwości finansowe. Co ważniejsze, sprawia ogromną satysfakcję – widok zadowolenia i radości na twarzy klienta sprawia, że następnego dnia znowu chce się wstać i spełniać marzenia klientów. Pracuję w tym zawodzie od 20 lat i nie wyobrażam sobie innego.

**Lider Nieruchomości to ranking biur nieruchomości, które dbają o najwyższą jakość ogłoszeń na Otodom, najpopularniejszym w Polsce serwisie internetowym wspierającym w kupnie, sprzedaży i najmie nieruchomości. W każdym kwartale biura otrzymują odznaczenia Lidera Jakości i Lidera Jakości Pro, dzięki którym klienci mogą wybrać wiarygodnego partnera do współpracy. Dodatkowo, wyróżniane jest TOP 100 najlepszych biur w Polsce.*

„Czas na deportację” — napisał premier Donald Tusk. W Polsce pojawia się przestępczość z importu. Gangi obcokrajowców, zwłaszcza Gruzinów, napadają, rabują, chcą przejąć handel narkotykami i bronią. Przestępcy są agresywni, czasami brutalni. Nie mają zahamowań. To do nich skierowane są słowa premiera

Dorota Kowalska

JAK GRUZIŃSKIE GANGI BADAJĄ TEREN W POLSCE

Sytuacja wygląda niepokojąco. Kilka dni temu, tuż przed północą przed jedną z restauracji na placu Konstytucji w Warszawie doszło do bójki. Wzięło w niej udział kilku mężczyzn. Trzej z nich, wszyscy byli Gruzini, zostali dźgniętych nożem. Jeden z mężczyzn zmarł, miał 31 lat.

Pod koniec zeszłego roku policjanci ze Śródmieścia zatrzymali dwóch Gruzinów. Napadali na przypadkowe osoby w centrum stolicy, w rejonie ulicy Kruczej, Żurawiej i Nowogrodzkiej. Ofiary bili i okradali. Schemat działania był zawsze podobny.

- Na początku podchodzili do swoich ofiar, jeden z napastników wykręcał im ręce i trzymał, a drugi bił. Na koniec kradli pokrzywdzonym rzeczy - mówił mł. asp. Jakub Pacyniak ze śródmiejskiej komendy.

Policjanci zatrzymali 35- i 37-latkę. Obaj usłyszeli zarzuty, trafili do aresztu. Młodszy z podejrzanych został zidentyfikowany jako sprawca brutalnego rozboju, dokonanego kilka dni wcześniej w budynku przy Alei Jana Pawła II. Doszło do niego w windzie. Gruzini byli w niej z 23-latką, celowo wybrał najwyższe piętro. Gdy drzwi windy się zamknęły zaczął okładać młodego mężczyznę. Ukradł mu szaszłyki z piekarni, dokumentami i telefonem komórkowym. Pokrzywdzony trafił do szpitala, był potwornie pobity, miał złamany odcinek.

Kolejny news: kilka dni temu policja zatrzymała czterech Gruzinów. Włamali się do dwóch zaparkowanych w centrum Warszawy samochodów. Zrabowali z nich 20 tys. zł.

- Pojawia się brutalna przestępczość z importu, właściwie nie ma tygodnia, żeby nie było informacji o brutalnych porachunkach, brutalnych działaniach najczęściej między członkami tych gangów, więc na to musimy reagować - mówi we

wtorek w Programie Pierwszym Polskiego Radia, szef MSWiA i koordynator służb specjalnych, Tomasz Siemoniak. - Mówimy tu o twardej przestępczości, z którą musimy się zmierzyć i tu dane policji są jasne. Zagraniczne gangi próbują wejść do Polski, opanować różne rodzaje przestępczości: handel narkotykami, handel bronią, wymuszenia i do tego posługują się brutalnymi metodami - tłumaczył Siemoniak.

„Otrzymałem szczegółowe informacje od szefa MSWiA o zdecydowanych działaniach służb wobec zagranicznych gangów. Dokonano licznych zatrzymań. Czas na deportację” — napisał premier Donald Tusk.

Wcześniej Donald Tusk zapowiedział uproszczoną i szybką procedurę deportacji przestępców z Polski. Chodzi o tych obcokrajowców, którzy rażąco naruszyli prawo. - Każdy, kto gości w Polsce, korzysta z naszej gościny, i w sposób brutalny narusza prawo, będzie deportowany z Polski - zapowiedział premier Tusk.

I przyznał, że w ostatnim czasie coraz częściej pojawiają się informacje o całych grupach obcokrajowców, którzy żyją w naszym kraju z działalności przestępczej.

- Mamy zbyt dużo przykładów w ostatnim czasie, które świadczą o tym, że tolerancja dla tego typu zachowań przynosi bardzo złe efekty. Spodziewajcie się państwo w najbliższych dniach zdecydowanych akcji, które ograniczą przestępczość, także jeśli chodzi o środowiska migrantów i obcokrajowców przebywających w Polsce - stwierdził premier.

Wiadomo już, że MSWiA razem z ministrem sprawiedliwości przygotowuje plan dalszych zdecydowanych reakcji na przestępczość obcokrajowców, szczególnie przestępczość zorganizowaną i tę najbardziej brutalną.

Niebezpiecznie na ulicach miast

Wśród obcokrajowców największym problemem stanowią Gruzini. Jak poinformowało Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, w ubiegłym roku policja zatrzymała 1895 obywateli tego kraju. Decyzją sądu 136 trafiło do aresztu. W całym ubiegłym roku z Polski wydano 2589 obywateli Gruzji. O sprawie pisała między innymi „Gazeta Wyborcza” podkreślając, że w polskich więzieniach przebywa 304 Gruzinów i 1304 Ukraińców. Tylko od początku tego roku 2616 obcokrajowców usłyszało zarzuty popełnienia przestępstw w Polsce.

Rozmówcy „Gazety Wyborczej” twierdzą, że na ulicach polskich miast jest źle. Były naczelnik z Centralnego Biura Śledczego Marcin Miksza „Borys” twierdzi, że rozwijają się gruzińskie gangi.

- Jakaś część z nich to przestępcy, którzy widzą Polskę jako nowy rynek w kryminalnej karierze. Nierzadko Polska to tylko ich przystanek na drodze na Zachód, zwykle do Włoch czy Hiszpanii - tłumaczył.

Gruzini są agresywni, często brutalni. Przykłady? Jeden z przestępców, podejrzany o szereg brutalnych ataków na starsze kobiety, najpierw obserwował swoje ofiary w bankach lub kantorach, siedział za nimi do domów, okradał na klatkach schodowych, potem spychał ze schodów. Gruzini obrabowali jubilerów w Warszawie. Służby podejrzewają też, że to gruziński gang wtargnął do domu biznesmenów w Kobyłce pod War-

szawą. Przestępcy skuli domowników i zakneblowali.

- Z najnowszych ustaleń wynika, że sprawcy byli dobrze przygotowani. Mieli kominarki, czapki, rękawiczki. Prowadzimy intensywne czynności, mające na celu ustalenie ich tożsamości - przekazał Wirtualnej Polsce prok. Norbert Woliński z Prokuratury Okręgowej Warszawa-Praga. - „Modus operandi” zastosowany przez sprawców to jedynie takie zdarzenie w tym regionie w ostatnich miesiącach - dodał. Powołując się na dobro postępowania, nie ujawnił dodatkowych szczegółów, ale przyznał, że do podobnych napadów rabunkowych dochodzi także w innych częściach kraju. Sprawcy w kilkadziesiąt minut plądrują domy biznesmenów. Zdarzało się, że stosowali tortury.

- Powoli wracają lata 90., kiedy szczególnie w Warszawie i dużych miastach panoszyły się gangi, policja nie mogła nad nimi zapanować. Teraz znów przybywa przestępstw przeciwko życiu i zdrowiu, takich jak rozboje i zuchwałe kradzieże w sklepach i drogeriach - wyliczał w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” jeden z policjantów. - Czas działać - dodał stanowczo.

Prezydent stolicy przyznał na antenie Polsat News, że gangi obcokrajowców to realne zagrożenie, którym zajmują się już politycy nie tylko lokalnie, ale i na szczeblu krajowym.

- Tak, jest problem, jeśli chodzi o gangi przestępcze m.in. z Gruzji - potwierdził. - Mamy wzrost tego typu przestępstw. Nie osiągnął jeszcze wzrostu krytycznego, ale jest znaczący. Poradziliśmy sobie z grupami polskimi i nie możemy pozwo-

lić sobie na to, by te grupy się odrodziły - dodał.

Wychowani na wojnie

Do problemu przestępczości wśród obcokrajowców przebywających na terenie Polski należy podejść stanowczo. Nikt nie chce widzieć na ulicach Warszawy, Wrocławia, czy Gdańska wojny gangów, jak w latach 90.

- Na razie Gruzini, czy Ukraińcy nie tworzą jeszcze struktur mafijnych w Polsce - uspokaja gen. Adam Rapacki, były policjant, twórca Centralnego Biura Śledczego. - To zupełnie inna specyfika działań kryminalnych. Gruzini zajmują się głównie kradzieżami, włamaniami, rozbojami, być może porwaniami. Są o tyle niebezpieczni, że charakteryzują się brutalnością i desperacją - dodaje.

Skąd ta agresja? Ona ponieważ bierze się ze wschodniej mentalności, w której życie człowieka jest warte tyle, co nic. Poza tym, Gruzini, to ludzie wychowani na wojnie, wielu z nich to osoby z kryminalną przeszłością.

Nie tworzą jeszcze struktur mafijnych z kilku powodów.

- Przede wszystkim nie mają kontaktów ze służbami, administracją państwową, wymiarem sprawiedliwości, jak to było w przypadku grup przestępczych w Polsce w latach 90. Przypominam, że ówczesni przestępcy znali się z politykami, dziennikarzami, artystami, mieli swoich ludzi w służbach specjalnych - wylicza gen. Rapacki. Kolejna sprawa: ci ludzie żyją w swoich środowiskach, nie mają wielkich przedsięwzięć, swoich biznesów, tym samym - nie mają gdzie inwestować, prac brudnych pieniędzy.

- Ale oczywiście to może się zmienić, dlatego trzeba działać natychmiast, trzeba wdrażać działania wyprzedzające, prewencyjne - zauważa gen. Rapacki.

Przenikać w te środowiska, próbować pozyskiwać w nich informatorów. Bezwzględnie

wyłapywać przestępców. Choć to trudne, bo Gruzini tworzą hermetyczną społeczność, bardzo mobilną, barierą jest też znajomość języka i kultury.

Jacek Dobrzyński, rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych ma podobne spostrzeżenia.

- Przez cały czas byli u nas obecni Ukraińcy i Gruzini i Białorusini, którzy dokonywali przestępstw, ale po wybuchu wojny w Ukrainie, rzeczywistość, ich liczba wzrosła - przyznaje. - Przy czym, jeśli Ukraińcy i Białorusini dokonują przestępstw, można by rzec, okazjonalnie, to Gruzini są bardziej zorganizowani. Jesteśmy na etapie wchodzenia przez nich w rynek, sprawdzania go - dodaje Dobrzyński. Zadanie służb, to trzymanie ręki na pulsie, nie można pozwolić im się rozwijać, rozochoć.

Trzymać rękę na pulsie

Stąd takie akcje, jak ta z połowy lutego. Świetnie zorganizowane, sprawnie przeprowadzone.

„W ramach akcji Policji i Straży Granicznej 13-14 lutego zatrzymano 1474 osoby, a wobec 398 cudzoziemców wszczęto procedurę wydalenia z Polski. Przez następne dni Policja prowadziła kolejne zdecydowane i intensywne działania wymierzone w próbujące się organizować na terenie Polski zagraniczne grupy przestępcze” — napisał Tomasz Siemoniak.

W dwudniowej operacji zorganizowanej przez służby wzięło udział ponad 26 tys. policjantów i tysięcy funkcjonariuszy Straży Granicznej. W całym kraju sprawdzili 32 136 adresów i miejsc, gdzie zatrzymano 1474 osób poszukiwanych.

Wcześniej, policjanci z Centralnego Biura Zwalczania Cyberprzestępczości ustalili osoby poszukiwane, które nadal przebywają w Polsce. Potem wytypowano potencjalne miejsca, w których mogą się ukrywać.

Wśród zatrzymanych byli zarówno podejrzani lub oskarżeni

**MSWiA RAZEM Z MINISTREM
SPRAWIEDLIWOŚCI PRZYGOTOWUJE
PLAN DALSZYCH ZDECYDOWANYCH
REAKCJI NA PRZESTĘPCZOŚĆ
OBCOKRAJOWCÓW**

o popełnienie przestępstw, jak i skazani na kary pozbawienia wolności, w tym za udział w zorganizowanej grupie przestępczej, handel narkotykami, oszustwa i kradzieże z włamaniem. Z domów wyciągano także obcokrajowców.

Straż Graniczna przekazała, że w czasie akcji funkcjonariusze tej formacji przeprowadzili ponad 2,4 tys. kontroli legalności pobytu obcokrajowców, wszczęto prawie 400 postępowań o zobowiązanie cudzoziemców do powrotu. 180 postępowań dotyczyło obywateli Ukrainy, a blisko 60 cudzoziemców z Gruzji i tyłu samo z Kolumbii. Powód? Nielegalny pobyt na terenie naszego kraju. W trzech przypadkach chodziło o zagrożenie dla obronności lub bezpieczeństwa państwa lub ochrony bezpieczeństwa i porządku publicznego.

- Trzeba trzymać rękę na pulsie, ale dzisiaj sytuacja wygląda inaczej niż w latach 90. - mówi nam jeden z policjantów - Wtedy służby przechodziły reorganizację, były zajęte wyłącznie sobą, nie zorientowały się, że pod nosem wyrasta im mafia - wzrusza ramionami.

Pseudonim Enigma

To prawda. Ewa Ornacka i Piotr Pytlakowski tak piszą w „Alfabcie mafii”: „Milicja zmieniona w policję dopiero uczyła się nowych obowiązków. Wszelkimi siłami odcinano się od PRL, przy okazji spuszczając ze smyczy tzw. osobowe źródła informacji, czyli agentów milicji i SB w świecie przestępczym. Wielu znanych w latach 90. gangsterów w poprzedniej dekadzie zajmowało się cinkciarstwem. Wśród waluciarzy SB miała mocną agenturę. Większość esbeków zweryfikowano negatywnie i role się odwróciły. Teraz oni stali się agenturą świata przestępczego. Gangsterzy wykorzystywali ich kontakty i znajomości z milicjantami przemianowanymi na policjantów, z prokuratorami, a nawet z sędziami. Wszyscy przestępcy, znani dzisiaj jako ojcowie chrestni mafijnych grup, w latach 80. dziwnie łatwo wyjeżdżali do Niemiec (RFN) na wielomiesięczne pobyty. Bez problemów dostawali paszporty w czasach, kiedy nie było to wcale takie proste. Niemiecką mekką polskich złodziei był wtedy Hamburg i inne miasta nadmorskie. Bywali tam „Nikoś”, „Pershing”, „Wariat”, „Oczko”, a także podobno „Masa”, „Kiełbasa” i „Słowik”. - Istniał dyskretny nadzór ze strony SB nad pruszkowską bandą „Barabasa”. (...) To była swego rodzaju opieka. (...) Za czyny, które ludzie „Barabasa” popełniali, można było trafić do ciupy na bardzo długo. A oni nie trafiali. (...) W „Uroczaj” (knapa w Pruszkowie w latach 80.), bandy „Barabasa” zajmowali połowę sali,



Nie można pozwolić na powrót do lat 90., kiedy ulice miast były polem gangsterskich porachunków, a w Polsce powoli rodziła się mafia, zaś policja nie była w stanie temu zapobiec – twierdzą eksperci

drugą okupowali milicjanci po służbie. (...) Po kilku półtrójkach, lody przełamywano i dochodziło do ogólnego zbratania, stoliki łączono i pito wspólnie. (...) Tak rodzą się nieformalne więzi. (...) Dzisiaj już wiemy, że wielu zwykłych złodziei z czasów PRL, członków bandyckich grup dokonujących włamań i napadów, dzięki opiece ludzi z peerelowskich służb specjalnych w III RP zmieniło się w opromienionych sławą mafiosów, liderów „Pruszkowa”, „Wołomina” i wielu innych przestępczych grup zorganizowanych”.

Polska mafia narodziła się w 1990 roku jednocześnie w dwóch miejscach - okolicach podwarszawskiego Pruszkowa i właśnie w środowisku Polaków przebywających w Niemczech. W Pruszkowie gang zorganizowali wychowankowie słynnego w czasach PRL bandyty „Barabasa”. W Niemczech skrzyknęli się złodzieje samochodów na czele z Nikodemem S., zwanym Nikosiem. Mafia wołomińska była odłamem pruszkowskiej. Przejęła tereny na wschód od Warszawy.

Na czym zarabiali gangsterzy? Przemysł spirytusu, papierosów i narkotyków, nielegalne rozlewnie alkoholu i wytwórnictwo amfetaminy, haracze od kupców, restauratorów, właścicieli agencji towarzyskich, a nawet znanych biznesmenów. Napady na TIR-y, konwoje z gotówką, kradzieże samochodów. Ogromne pieniądze.

Nic więc dziwnego, że zaczęły rywalizować ze sobą, nie tylko zwalczające się grupy, ale także dawni kompani. Nastąpił czas podkładania bomb i ulicznych egzekucji.

Kres wewnętrznej walce dał Jarosław Sokołowski, pseudonim Masa, najsłynniejszy świadek koronny. Został zatrzymany przez policję w Korbielowie na Żywieczie, wyszedł na wolność w połowie czerwca 2000 roku po pięciu miesiącach pobytu w areszcie. Uzyskał status świadka koronnego i zaczął sypać.

Pruszków, Wołomin to były silne, bandyckie grupy, ale jeszcze nie mafia. Mogły się jednak w nią zmienić, bo zaczynały łąpać kontakt z politykami. Nie zdążyły, bo do akcji wkroczyło Centralne Biuro Śledcze.

Powołał je 15 kwietnia 2000 roku komendant główny policji, łącząc działające od 1994 roku Biuro do Walki z Przestępczością Zorganizowaną oraz działające od 1997 roku Biuro do spraw Narkotyków. Najlepszy sprzęt, najlepsi gliniarze, nowe zasady gry. Policja i prokuratura mogły przeprowadzać operacje specjalne, np. zakup kontrolowany, miały szerszą możliwość kontroli korespondencji, dostęp do niektórych baz informacyjnych, powołano wreszcie instytucję świadka koronnego.

- To był ostatni moment na tego typu działania, grupa pruszkowska zaczęła dominować w całym kraju - opowiadał mi swego czasu Marek Bier-

nacki, polityk, były szef MSWiA. - Niemal codziennie wybuchały bomby, albo dochodziło do strzelanin. Groziło nam powstanie wielkiej ogólnopolskiej mafii - tłumaczy.

Zeznania „Masy” też miały swoją wartość. Policja przystąpiła do akcji o pseudonimie „Enigma”, decyzję o jej rozpoczęciu wydał właśnie Biernacki, był wtedy ministrem spraw wewnętrznych i administracji w rządzie Jerzego Buzka.

- Uderzyliśmy w Pruszków, zatrzymywaliśmy gangsterów w całym kraju. To było jedno, skonsolidowane uderzenie, ale potem udało nam się wyłapać także tych, którym udało się uciec - opowiadał Marek Biernacki. - Nie wszyscy byli zwolennikami przeprowadzenia tej akcji, niektórzy podnosili, że w miejscu starej grupy pojawi się nowa, być może jeszcze groźniejsza, jeszcze bardziej brutalna - tłumaczy Biernacki.

Zatrzymywali gangsterów w całym kraju. Zrobiło się spokojnie, bo nawet, jeśli potem pojawiały się jakieś grupy przestępcze, nie były już tak silne, tak dobrze zorganizowane jak te w latach 90.

- Odbudowanie takiej grupy przestępczej jak Pruszków byłoby dzisiaj niemożliwe. Zmienił się także sam charakter przestępczości - twierdził Marek Biernacki.

Większość gangsterów ma dzisiaj swoje firmy, są biznesmenami, przynajmniej na takich się kreują. Zarabiają na wy-

łudzeniach VAT, dokonują przestępstw podatkowych - nikt nie biega po mieście i nie wymachuje pistoletem.

Natura nie znosi próżni

Tyle że na polskich ulicach pojawili się nowi ludzie, o zupełnie innej mentalności. Ich metody „pracy” przypominają trochę styl polskich przestępców z lat 90.: brawura, brutalność, brak zahamowań.

Komenda Główna Policji w połowie 2024 roku opublikowała raport, w którym podsumowała swoje działania. Jak czytamy w dokumencie, „najważniejszym obecnie problemem jest przestępczość osób rosyjskojęzycznych”.

„Analizy wskazują, że problem ten będzie narastał, ponieważ prócz przestępczości pospolitej (kradzieży, prowadzenia pojazdów w stanie nietrzeźwości) odnotowywany jest także wzrost przemytu jest także wzrost przemytu, handlu ludźmi i przestępczości zorganizowanej. Liczba migrantów z za wschodnich granic i konflikty między nimi mogą zagrażać także obywatelom naszego kraju” - wskazywała KGP.

- W dłuższej perspektywie należałoby się zastanowić, czy dla obywateli państw, które nie chcą wstępować do Unii Europejskiej, nie wprowadzić wiz. Poza tym, wiem, że to wymaga pewnych uzgodnień, ale może warto byłoby zatrzymanych i skazanych obcokrajowców, odsyłać do odsiedzenia kary do ich państw, bo dlaczego ob-

ciążać tym polskiego podatnika - sugeruje gen. Rapacki, twórca CBŚ.

Ekspert podkreśla jednak, że niezbędne przepisy już są, niczego nie trzeba zmieniać.

- Przepisy pozwalają na wydanie decyzji deportacyjnej cudzoziemcowi, który stanowi zagrożenie dla porządku publicznego czy bezpieczeństwa państwa. Oczywiście, to zagrożenie musi być realne i stwierdzone w odpowiednim postępowaniu. (...) To prawo jest stosowane, czasem jest wręcz nadużywane przez służby - skomentował w TVN24 Marcin Sośniak, członek zespołu migracyjnego Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. I dodał, że państwo powinno rozliczać przestępców, ale nie należy tego wiązać wyłącznie z ich narodowością.

- Nie chciałbym przypisać problemu przestępczości pod jakąś konkretną narodowość czy pochodzenie etniczne czy w ogóle pod wątek imigrancki. (...) Nie prawo migracyjne jest problemem. Należy się przyjrzeć skuteczności ścigania i karania tego rodzaju przestępczości - podsumował Marcin Sośniak.

Ekspert nie ma wątpliwości: nie można podsycać nastrojów antyimigracyjnych, ale reagować trzeba. Nie można pozwolić na powrót do lat 90., kiedy ulice miast były polem gangsterskich porachunków, a w Polsce powoli rodziła się mafia.

Bo RAZEM NAJLEPIEJ! Trwa nasz wielki plebiscyt zakochanych



Miłość nie jest czymś niezmiennym, ale zawsze pięknym i wartym pokazania. Właśnie dlatego przygotowaliśmy galerię szczęśliwych par z naszego regionu.

W naszej wielkiej akcji dla zakochanych Razem Najlepiej osobno wybieramy pary, które są ze sobą mniej niż siedem lat oraz te ze stażem dłuższym niż siedem lat właśnie.

Bo przecież miłość na przestrzeni lat przechodzi wiele etapów, zmienia się, dojrzewa i nabiera nowych barw. Miłość

w związku, który trwa kilka miesięcy czy lat różni się bowiem od tej, która trwa wiele dekad - ale obie są przecież wartościowe i piękne na swój sposób.

W ogniu namiętności, przy ognisku otulającej codzienności

Pary, które mają krótszy staż bycia razem, często każdego dnia wciąż odkrywają siebie nawzajem. Ich miłość jest pełna nowych doświadczeń. Uczą się, jak funkcyjono-

wać jako drużyna. Przeżywają pierwsze poważne wyzwania i testują siłę swoich uczuć. Jest wiele ekscytacji, spontaniczności, niepewności też.

Natomiast miłość, która trwa wiele lat, jest już głębsza doświadczeniami i bardziej ugruntowana. To uczucie, które przetrwało zmiany, kryzysy i codzienność. Ta miłość nie zawsze jest tak intensywna, jak na początku, ale za to pełna wzajemnego zrozumienia, troski oraz wielu dni i nocy wspólnej historii. To miłość, która zna zarówno

najlepsze, jak i najtrudniejsze momenty życia.

Każdy etap miłości ma swoje piękne oblicze

Nie ma lepszej ani gorszej miłości - jest po prostu inna, dojrzewająca razem z ludźmi, którzy ją tworzą. Mają za albo przed sobą czas wielkiej fascynacji, wielkich słów, szalonych wspomnień - zawsze jednak razem.

Dlatego my doceniamy każdą miłość. I tę, która jest burzą uniesień, czasem budowania fundamentów, na któ-

rym powstaje codzienność - i tę miłość, która w tej codzienności już zanurzona.

My doskonale wiemy, że miłość nie jest czymś niezmiennym, ale zawsze pięknym i wartym pokazania. Właśnie dlatego przygotowaliśmy galerię szczęśliwych par z naszego regionu. Z par, które biorą udział w akcji, nasi Czytelnicy już wybierają te najsympatyczniejsze - a my je nagrodzimy. Czekają między innymi wyjazdy do SPA i na wczasy w Grecji, a w ogólnopolskim finale nagroda

główna - aż 50.000 zł na realizację marzeń!

Z nadesłanych zdjęć tworzymy dwie galerie, w których osobno prezentujemy pary, które są ze sobą mniej niż siedem lat oraz te z dłuższym stażem. Pamiętajcie, że na laureatów głosowania w naszym województwie czekają atrakcyjne nagrody, a 20 z nich będzie nas reprezentować w ogólnopolskim finale, gdzie już czeka między innymi 50.000 zł.

Poznajcie bliżej pierwszych uczestników akcji!

Więcej o akcji na www.dziennikbaltycki.pl/razem-najlepiej



● **BOGUMIŁA SCHWICHTENBERG I MARIAN SCHWICHTENBERG**
● Żelazzewo

Miłość na przestrzeni lat przechodzi wiele etapów, zmienia się, dojrzewa i nabiera zupełnie nowych barw. Dojrzała, długa miłość nie jest cudem jednej chwili - jest sumą wszystkich tych chwil, które ją budowały. I tych świątecznych, i tych codziennych wtorków, piątków i poniedziałków. Jest wyborem, codziennym mówieniem sobie „tak”.

Jest też zbiorem wspomnień zbieranych latami. - Nasza historia rozpoczęła się 48 lat temu podczas ogniska organizowanego z okazji nocy świętojańskiej. On przystojny brunet,

ja nieśmiała blondynka wpadliśmy na siebie przypadkiem. Oboje poculiśmy niesamowitą magię, przyciąganie. I od tamtej pory praktycznie jesteśmy nierozłączni - wspomina Bogumiła Schwichtenberg.

Jej mąż mówi, że Bogumiła to ciepła, empatyczna, ale twardo stąpająca po ziemi osoba. - Podziwiam w niej upór, walkę z przeciwnościami. No i to też kochana babcia trójki wnucząt: Oliwki, Majki i Maksia - mówi mąż.

- Marian to zamknięty w sobie, ale bardzo uczuciowy mężczyzna. Podziwiam w nim cierpliwość, pracowitość i ten me-

gaspokój i opanowanie. No i to też kochany dziadziuś trójki wnucząt: Oliwki, Majki i Maksia - wyjawia pani Bogumiła.

Oboje oceniają, że chyba nie było takich momentów, które Ich szczególnie umocniły. Można śmiało napisać, że to prawdziwi szczęściarze, którzy mogą być wzorem dla innych par i świecie, w którym uczucia mają krótką datę ważności. - Niezmiennie nasza miłość, wierność i uczciwość małżeńska trwa od wielu lat - opisuje nasza para. Dodając, że sama obecność tej drugiej osoby wyzwala w Nich przysłowiowe motylki w brzuchu.



● **BERNADETA WOLF I OSKAR WOLFF**
● Gniew

- Nasza cicha historia sięga lat szkoły podstawowej. Nabrała obrotu, kiedy byliśmy w szkołach ponadpodstawowych.... - wspominają.

Mieli wówczas po 16 lat!

Potem stało się tak, że Ich miłość nabrała tempa i szkolne zauroczenie przemieniło się w miłość właśnie.

Potem był ślub.

- Jesteśmy małżeństwem od prawie 33 lat, bo ta rocznica nastąpi 3 października 2025 roku. Nasza miłość pogłębiła się każdego dnia jeszcze bardziej - mówią, udowadniając, że czas może pogłębiać uczucie i łączące więzi.

Miłość nie jest bowiem czymś stałym. Ona rośnie, zmienia się i dostosowuje się do tego, kim jesteśmy, na jakim etapie życia jesteśmy.

Bernadeta Wolf i Oskar Wolff najbardziej podziwiają w sobie zrozumienie, wytrwałość i uczucie, którym dzielą się każdego dnia... Miłością!

Czy były w Ich związku momenty, które szczególnie Ich umocniły? Tak. Jest to... rozłąka!

- Dla niektórych ludzi może być to dziwne, lecz dla nas to czas umocnienia naszych głębszych więzi kochających się dwojga ludzi. Mam

na myśli rozłąkę. Mąż pracuje za granicą od 20 lat i to właśnie rozłąką jeszcze bardziej nas umacnia - mówi żona.

Oni udowadniają, że jeśli uczucie jest szczere, odległość nie oddala, ale łączy jeszcze mocniej, bo przypomina, że najważniejsze to być dla siebie nawzajem, myśleć o sobie.

Czy jest jakaś mała codzienna rzecz, która sprawia, że wciąż czują motyle w brzuchu? - Tak, codzienne telefony, aby powiedzieć sobie „kocham cię, i życzyć sobie miłego dnia. Wówczas wiemy, że myślimy o sobie - wyjawiają małżonkowie.

Stavnik: Akba kamaluk nanaus Tarant

Z wielkim żalem zawiadamiamy, że dnia 26 lutego 2025 r. zmarła nasza kochana Mama, Siostra i Babcia



dr Krystyna Siudek

lat 89

Msza żałobna odprawiona zostanie
dnia 1 marca 2025 r. o godz. 10.00
w kościele Matki Boskiej Nieustającej Pomocy
w Gdańsku, ul. Słowackiego 79.
Pogrzeb tego samego dnia na cmentarzu parafialnym
w Kokoszkach im. Brata Alberta.
Pograżona w smutku

Rodzina

0011278582

Z głębokim bólem zawiadamiamy,
że 22 lutego 2025 r. zmarła
nasza Droga, Kochana i Kochająca



Halina Fijałkowska -Świerczyńska

prawnik, człowiek prawy i szlachetny.

Msza Święta żałobna zostanie odprawiona
7 marca 2025 r. o godz. 10.00
w kościele pw. NMP Królowej Różańca Świętego
na Przymorzu.
Pogrzeb odbędzie się tego samego dnia
na cmentarzu w Gdańsku Oliwie,
czuwanie w kaplicy o godzinie 11.30,
a odprowadzenie prochów Zmarłej o godzinie 12.00.

Rodzina

0011277883

Pieprzycy: Gdyby nie miasto, to byśmy nic nie zrobili

Jacek Żukowski
jacek.zukowski@polskapress.pl

ROZMOWA. W niedzielę o 12.15 Puszcz zagra z Motorem. To pierwszy mecz w ekstraklasie rozgrywany w Niepołomicach. Rozmawiamy o tym z prezesem Jarosławem Pieprzycą.

Nie w pierwszym sezonie, a w drugim w ekstraklasie zagracie pierwszy mecz na własnym boisku. Dobrze, że w ogóle do tego dojdzie, bo to przecież nie było takie oczywiste.

Wszyscy wyczekują na ten pierwszy mecz, szczególnie mieszkańcy Niepołomic, kibice. Wydarzenie niebywałe! Dobrze, że jest ten drugi sezon gry w ekstraklasie. Mamy wiele pracy związanej z tym wydarzeniem, ale będziemy gotowi na niedzielę. Mam nadzieję, że ten debiut ekstraklasowy w Niepołomicach będzie okraszony sukcesem i sportowo się też powiedzie.

A było w ogóle zagrożenie, że nie wróćcie do Niepołomic w tym sezonie?

Gdyby nie wsparcie miasta, to sami byśmy jako klub nic nie zrobili. Są to inwestycje, które może przeprowadzić tylko miasto. Jesteśmy spółką miejską o 100-procentowym kapitale miasta. Zawsze istniało zagrożenie, że nie wrócimy. Występowaliśmy na swoim obiekcie w I lidze, ale ona ma inne wymagania niż ekstraklasa, zwłaszcza jeśli chodzi o transmisje telewizyjne. LivePark ma wyśrubowane standardy i musieliśmy się do nich dostosować.

wać. Mamy już wszystko dopracowane, LivePark już zakończył wizytację.

Co było największym wyzwaniem w przekształcaniach stadionowych?

Na pewno budowa wieży telewizyjnych - trzech, ale też podestów pod kamery goal-line, które muszą być na stałe. W głównej wieży jest pomieszczenie dla komentatorów.

Jedna z nich stoi na tym „słynnym” już terenie, o który była „wojna”. Nie należał do miasta... Trzeba go było wydzierzać.

Były rozbieżności co do wysokości dzierżawy, to mniej więcej kawałek ziemi 2 na 2 m. To jest dzierżawa na 10 lat.

Były więc problemy „społeczne”...

Gdyby sytuacja miała trwać, to bezcelowe byłoby granie w ekstraklasie na obcym obiekcie. Dla Cracovii, mimo całej sympatii do niej, było to uciążliwe, poza tym koszty by nas „zjadły”. Za jeden mecz musieliśmy ponosić koszt około 300 tys. zł wliczając wszelkie koszty, nie do uciążliwych na dłuższą metę.

Najbliższy mecz zapisze się w historii klubu, podobnie jak barażowe, o wejście do wyższych klas.

Na pewno tak, tym bardziej, że do każdego meczu barażowego nie przystępowaliśmy w roli faworyta. Raczej byliśmy skazani na porażkę, szczególnie w meczu z Wisłą. Graliśmy na jej obiekcie, przy jej kibicach, ciężko było zakładać, że Pusz-



FOT. PUSZCZA NIEPOŁOMIC

Jarosław Pieprzycy pracuje w Puszcz od 2009 roku

cza wygra i przejdzie do finału baraży.

Kiedy pan był pierwszy raz na meczu Puszcz?

Jak miałem pięć lat, byłem z tatą. Nie pamiętam jaki był to mecz, z jakimś lokalnym rywalem. Z kolei jak debiutowałem w Puszcz jako piłkarz to graliśmy z Zielonymi Niegowic, strzeliłem wówczas bramkę. To była B-klasa. Miałem 15 lat, a naszym trenerem był niedawno zmarły, ostatni mistrz Polski z Cracovii Mieczysław Kolasa. Bardzo szybko mnie wyciągnął z juniorów do seniorów.

W klubie działa pan już długo. Od 2009 roku, byłem wtedy p.o., a od 2011 prezesem stowarzyszenia. Potem były zmiany strukturalne.

W 2006 r. były słynne już baráže o III ligę z Okocimskim Brzesko. Pierwszy mecz wyjazdowy Puszcz przegrała 1:2, w rewanżu było 3:0 do przerwy dla niepołomiczan, a skończyło się 3:3 i był duży niesmak. Ten mecz odbił się szerokim echem. Był wielki zawód wśród

wszystkich związanych z klubem. Przeszedł do historii, ale w tym niekorzystnym świetle.

Gdyby ktoś powiedział wtedy, że za niespełna 20 lat będzie w Niepołomicach ekstraklasa, to chyba mało kto by w to wtedy uwierzył.

Wtedy pewnie powiedziałbym takiemu komuś, by sobie kupił młotek i pukał się w głowę...

Widać, jak można postawić klub na nogi, w ciągu dwóch dekad zrobić z klubu IV-ligowego ekstraklasowy.

Decydują ludzie. Jestem jedną z wielu składowych. Trzeba wspomnieć o prezesie Januszu Karasińskim, który cały czas działa, jest motorem napędowym. Jest były burmistrz Roman Ptak, obecny Michał Hebda, Marek Bartoszek, który zaczynał w klubie od wielu funkcji, był spikerem, odpowiedzialnym za media, był jego prezesem i cały czas działamy razem. Nie wyobrażam sobie pracy bez tego człowieka.

Obecny stadion jest dopuszczony warunkowo, czas na dobudowanie kolejnej trybuny macie do końca przyszłego sezonu?

Tak. Zbudujemy trybunę za bramką, a ta obecna za bramką będzie rozbudowana. Po to, by docelowo było 4500 miejsc.

Motor to chyba dobry rywal na otwarcie - nie jest to mocarz ligi, nie jest to też sła

Na pewno nie przyjedzie tutaj, by zrobić nam prezent.
©P

REKLAMA

0011246076

dziennikbaaltycki.pl/nekrologi

Nekrologi, kondolencje

przyjmowane są od poniedziałku do piątku
w godzinach 8.30-15.30

- bezpośrednio w Biurze Ogłoszeń,
Gdańsk, Połęż 3, tel. 58/300 32 11
- drogą mailową: nekrologi@prasa.gda.pl
- poprzez Internetowe Biuro Ogłoszeń
ibo.polskapress.pl
- w zakładach pogrzebowych współpracującymi z Dziennikiem Bałtyckim
 - **PPU Zielen, Gdańsk, Partyzantów 76**
www.zielen.pl, tel. 58/341-20-71 do 73
 - **ZDiZ w Sopocie Cmentarz Komunalny, Malczewskiego 31**
tel. 58/551-03-50, biuro@cmentarz.sopot.pl
 - **Zarząd Cmentarzy Komunalnych w Gdyni**
ul. Witomińska 76, tel. 58/660-89-50, www.zck.pl



nekrologi.net

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 800-472-852, 58 300 32 17 i zapłać kartą kredytową
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń - **Gdańsk**, Połęż 3, tel. 58/3003 211

Nieruchomości

DOMY - KUPIĘ

SKUP części nieruchomości, cała
Polska 518-503-404

Handlowe

MATERIAŁY OPAŁOWE

DREWNO opałowe suche iglaste-190zł, osika-230zł, klon-260zł, dąb 310zł, buk-340zł - metr nasypowy połączony z transportem, woj. pomorskie, sprzedam tel. 723-894-857

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY: spawacz tokarz CMC murarz, cieśla elektryk malarz: 601-218-955.

Motoryzacja

SAMOCZODY OSOBOWE - KUPIĘ

ABA auta całe, uszkodzone kupię zaniedbane powypadkowe. Najlepiej płacimy, całe pomorskie 514-514-610

Usługi

BUDOWLANO-REMONTOWE

A do Z awarie dach, blachy, kominy, papy, rynny, malowanie, 517-744-487

REMONTY mieszkań, kafelkowanie, regipsy, hydraulika 797-544-074

Sufity Podwieszane: Napinane, Kasetonowe, Rastrowe, Gipsowe, Ścianki Gipsowe "Sufitex" 604-944-094, 58-558-25-65 www.sufitex.pl

TROJMIASTO-REMONTY.PL

Generalne A-z wszystkiego 698035872

ŻALUZJE. Rolety 501-005-692

Turystyka

KRAJ

GÓRY

Beskidy, turnus Wielkanocny, 1400 zł, w górach koło Wadowic, tel.: 501-642-492.

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI nioski dowóz. 600539790

SPRZEDAM kurki kokoszki (brojlery) odchowane, 10- 20 tyg, kaczki i perliczki. Dowóz gratis. Zbieram zapisy. Tel. 728-104-188.

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.200 zł/tona, 500-669-621

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne w Twojej gazecie zlećisz przez Internetowe Biuro Ogłoszeń: ibo.polskapress.pl

Matrymonialne

BIURO "Serduszka Dwa" 883-783-782

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Małysz kręci i jest zazdrosny o Stocha i jego sukcesy

Jacek Kmieciak
redakcja@polskapress.pl

NARCIARSTWO KLASYCZNE. W sobotę i niedzielę, 1-2 marca, na mistrzostwach świata w Trondheim odbędą się kwalifikacje i konkurs indywidualny mężczyzn na skoczni normalnej.

Tytułu mistrza świata ze skoczni normalnej ze słoweńskiej Planicy z 2023 roku będzie bronić na skoczni Granåsen HS 105 w norweskim Trondheim Piotr Żyła.

W kwalifikacjach, poza Żyłą, wystąpi jeszcze czterech Polaków: Paweł Wąsek, Aleksander Zniszczoł, Jakub Wolny i Dawid Kubacki.

Trener kadry polskich skoczków, Austriak Thomas Thurnbichler, miał możliwość zabrania sześciu zawodników na mistrzostwa świata, ale zdecydował się zabrać pięciu i pominął wielkiego mistrza z Zrębu - Kamila Stocha, który po raz pierwszy od 20 lat nie pojawił się na najważniejszych po igrzyskach olimpijskich zawodach.

Stoch to najbardziej utytułowany polski zawodnik w sportach zimowych: indywidualny mistrz olimpijski (dwa tytuły w 2014 i jeden w 2018 roku) oraz drużynowy brązowy medalista olimpijski z 2018 r., triumfator konkursu na dużej skoczni w 2013 r., a także srebrny medalista z 2019 r. na skoczni normalnej.

Choć 37-letni Stoch miał w tym roku problemy z regularnym punktowaniem w zawodach Pucharu Świata, to pod okiem byłego trenera polskiej kadry Michała Doleżala trenował indywidualnie i walczył o powrót do kadry oraz powołanie na mistrzostwa świata w Norwegii.



Zdaniem pierwszego trenera Kamila Stocha, Adam Małysz jest zazdrosny o jego sukcesy

Thurnbichler jednak postanowił zostawić Stocha w kraju, co wywołało falę oburzenia i krytyki w środowisku. Pierwszy trener Stocha, Krzysztof Sobański, w rozmowie z pilsatport.pl nie pozostawił suchej nitki na prezese Polskiego Związku Narciarskiego Adamie Małysz, którego w głównej mierze obwinił za pominięcie swojego wychowanka w kadrze na mistrzostwa świata.

- Małysz kręci i nie potrafi zająć stanowiska. Według mnie jest zazdrosny o Kamila i jego sukcesy - stwierdził Sobański.

- Jestem oburzony, że tak się traktuje najbardziej utytułowanego polskiego skoczka.

I nie dziwię się, że najbardziej obrywa za to prezes Adam Małysz - powiedział Sobański.

- Thurnbichlerowi nie pasuje Doleżał. To już jednak było i Małysz powinien umieć to rozwiązać - dodał pierwszy trener Stocha. - Kamil chce skakać do igrzysk olimpijskich bez względu na Thurnbichlera i jego decyzje - podsumował Sobański.

Polacy odpadli w eliminacjach sprintu

Wielkiego pecha w kwalifikacjach do sprintu techniką dowolną miał Maciej Staręga, który zajął 31. miejsce w biegu na 1,5 km. Do 30. pozycji dając awans narciarzowi z Sie-

dlec zabrakło zaledwie 0,04 sekundy.

Z pozostałych Polaków na 49. miejscu uplasował się Dominik Bury, 53. był Kamil Bury, a 65. Piotr Jarecki.

W kwalifikacjach do sprintu techniką dowolną kobiet najlepszą spośród reprezentantek Polski zaprezentowała się Monika Skinder, która ukończyła bieg na 38. miejscu, tracąc do 30. pozycji dającej awans zaledwie 2,9 s.

Miejsca pozostałych Polek: 49. Izabela Marcisz, 62. Aleksandra Kołodziej. ©

MŚ W NARCIARSTWIE KLASYCZ.

PROGRAM DNIA:

piątek, 28 lutego:

12.00-12.50: kombinacja norweska - miksty na skoczni normalnej;

14.00-15.45: skoki narciarskie indywidualnie kobiet na skoczni normalnej;

16.05-16.50: kombinacja norweska - bieg przełajowy mikstów;

20.00-21.00: ceremonia wręczenia medali na placu medalowym Torvet.

sobota, 1 marca:

10.00-12.50: kombinacja norweska - indywidualnie mężczyźni na skoczni normalnej;

14.00-15.00: bieg łączony mężczyzn, kwalifikacje/finały;

16.00-16.30: kombinacja norweska - bieg kompaktowy mężczyzn;

17.00-18.50: skoki narciarskie drużynowe kobiet na skoczni normalnej;

20.00-21.00: ceremonia wręczenia medali na placu medalowym Torvet;

20.30-21.30: skoki narciarskie indywidualnie mężczyzn na skoczni normalnej, kwalifikacje/finały;

niedziela, 2 marca:

12.00-12.30: kombinacja norweska - indywidualnie kobiety na skoczni normalnej;

14.00-15.00: bieg łączony kobiet, kwalifikacje/finały;

16.00-16.30: kombinacja norweska - Gundersen kobiet;

17.00-18.45: skoki narciarskie indywidualnie mężczyzn na skoczni normalnej;

20.00-21.00: ceremonia wręczenia medali na placu medalowym Torvet.

Finał sezonu Pucharu Świata w snowboardzie w Krynicy-Zdroju

Jacek Kmieciak/PAP
redakcja@polskapress.pl

SNOWBOARD. W sobotę i niedzielę, 1-2 marca, w Jaworzynie Krynickiej blisko 150 zawodniczek i zawodników z 17 krajów będzie rywalizować w ostatnich w sezonie zawodach Pucharu Świata.

Na Jaworzynie Krynickiej odbędą się dwa slalomy giganty równoległe. Reprezentacja Polski będzie liczna.

- Kadra na Puchar Świata składa się z pięciu zawodniczek i pięciu zawodników, ale jako gospodarz mamy prawo wystawić dodatkowo po pięć osób. Skorzystamy z tego. Myślę, że wystartuje 18-19 naszych reprezentantów - powiedział Paweł Dawidek, przewodniczący Komisji Snowboardu przy Polskim Związku Narciarskim.

Największe nadzieje na sukces polscy kibice wiążą ze startem Aleksandry Król-Walas, która w klasyfikacji generalnej zajmuje czwartą lokatę z dorobkiem 593 punktów i do trzeciej

Austriaczki Sabine Payer traci 167 punktów. - Aleksandrę stać na zwycięstwa, na pewno będzie chciała powalczyć o pierwszą trójkę w klasyfikacji generalnej. Wszystko jest jeszcze możliwe, bo w Krynicy będzie do zdobycia 200 punktów - przypomniał Dawidek.

W ostatnich zawodach Pucharu Świata w Val St. Come Król-Walas zajęła siódmą lokatę, ale warto przypomnieć, że 11 stycznia odniosła swoje pierwsze zwycięstwo w Pucharze Świata na zawodach w szwajcarskim Scuol.

W rywalizacji mężczyzn zabraknie mistrza świata z 2023 roku Oskara Kwiątkowskiego. Zakopiańczyk miał ogromnego pecha, gdyż podczas obozu w Krynicy-Zdroju uszkodził więzadło poboczne w kolanie. Pod jego nieobecność największe szanse na dobry wynik ma Michał Nowaczyk, który na ostatnich zawodach Pucharu Świata w Val St. Come odpadł w 1/8 finału i został sklasyfikowany na 15. miejscu. ©



Aleksandra Król-Walas jest w znakomitej formie i powalczy o podium w klasyfikacji generalnej PŚ

Po pucharowym hicie najczęściej mówiło się o... sędziach

Jakub Jabłoński
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Legia wygrała z Jagiellonią 3:1 i awansowała do półfinału Pucharu Polski. Praca sędziego głównego Piotra Lasyka i Szymona Marciniaka na VAR wzbudziły jednak kontrowersje.

Jagiellonii nie przyznano dwóch rzutów karnych: za zagranie ręką w polu karnym Ilii Szkurina, a także za faul na szarżującym 16-letnim Oskarze Pietuszelewskim. Marciniak

otwarcie, publicznie zanalizował obie kontrowersyjne sytuacje w rozmowie z TVP Sport i Rafałem Rostkowskim.

- Miałem do dyspozycji ujęcia z siedmiu kamer i żadne z tych ujęć nie dowodzi, że piłka uderzyła w rękę Szkurina. Widać, że piłka po zagranii Pululu uderzyła Szkurina w głowę. Oczywiście, że „śmierdzi” tym, że piłka mogła też dotknąć ręki, ale nie mam na to ani jednego dowodu. Słyszałem, że powtórka tej sytuacji była pokazana po zrobieniu „zooma”, ale widać na niej

piłkę pod ręką, a nie uderzenie czy dotknięcie piłki ręką... - bronił decyzji Piotra Lasyka Marciniak, którą doradzał sędziemu ze stanowiska VAR.

Skomentował również sporną sytuację z młodzieżnikiem skrzydłowym Jagiellonii w roli głównej. - Powiedziałem sędziemu Lasykowi, że zawodnik gości jest pierwszy, zagrywa piłkę lewą nogą w swoją lewą stronę, a tuż potem Wszółek stawia nogę. I to jest bardzo ważne. Tak jak w FIFA: ważna jest kolejność. Wszółek stawia nogę, a zawodnik Ja-

giellonii robi ruch prawą nogą i nią lekko zahacza o prawą nogę Wszółka - stwierdził Szymon Marciniak.

Piłkarze Jagiellonii po meczu dali upust emocjom po odpadnięciu z krajowego pucharu. Zrzucili winę na sędziów, którzy w ich mniemaniu wypaczyli wynik hitowego spotkania.

- Czujemy się pokrzywdzeni. To nie były kontrowersje. To były klarowne sytuacje i wszyscy to widzieli - powiedział po meczu z Legią Mateusz Skrzypczak.

- Gramy dobry mecz, w pierwszej połowie bardzo dobry. Mieliśmy piłkę, sytuacje, strzeliliśmy bramkę. Ale druga połowa... Nie wiem, dla mnie jest rzut karny, chyba dwa karne - mówił o sytuacjach z ręką i faulem na Pietuszelewskim Jesus Imaz. - Tutaj jest Warszawa - podsumował dla TVP Sport.

Najspokojniejszy był - jak zawsze - trener mistrzów Polski Adrian Siemieniec na konferencji prasowej, który nie dał się wciągnąć w dyskusję o formie arbitrow.

- Były dwie kontrowersyjne sytuacje, ale nie dam się sprowokować do oceny pracy sędziów, bo nigdy tego nie robię. Rozczarowanie jest duże, bo przegraliśmy, ale wiem, co mam robić i na czym się skupiać. Nigdy nie będę szukał wymówek w tym, jakie decyzje sędziowie podejmują. Oczywiście, one bardzo często są kluczowe dla przebiegów i wyników spotkań, ale ja mam swoją pracę do wykonania - wyraził spokojną cytatą za Meczyki.pl, wyważoną opinią Adrian Siemieniec. ©

SPORT

www.sportowy24.pl

SIATKÓWKA

Drużyna Trefla Gdańsk rozegra kolejny mecz w Ergo Arenie
Siatkarze Trefla Gdańsk zagrają o kolejne punkty w rozgrywkach PlusLigi. Drużyna z Gdańska podejmie GKS Katowice. To spotkanie zostanie rozegrane w hali Ergo Arena w niedzielę o godz. 17.

Trefl jest coraz bliżej osiągnięcia celu, czyli utrzymania się w krajowej elicie. To może stać już w najbliższy weekend, o ile swojego spotkania nie wygra Barkom Każany Lwów.

Trefl będzie faworytem niedzielnego meczu z zespołem z Katowic, bo rywale zajmują przedostatnie miejsce w tabeli PlusLigi. Fani liczą zatem na zwycięstwo. (stan)

PIŁKA NOŻNA

Chojniczanka Chojnice zaczyna rundę rewanżową.
W meczu drugiej ligi drużyna Chojniczanki zagra na wyjeździe z rezerwami Zagłębia Lubin. Początek w niedzielę o godz. 12. (stan)

Arka gra z Wisłą o dużą stawkę

Rafał Rusiecki
rafal.rusiecki@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Gdynianie w tabeli 1 Ligi mają 11 punktów przewagi nad krakowską Wisłą. Dziś jednak liczyć się będzie tylko to, co drużyny pokażą na boisku.

Jedni i drudzy na stadionie przy ul. Olimpijskiej będą chcieli wygrać. Chociaż gra toczy się o trzy punkty, to wydźwięk końcowego wyniku dwóch czołowych drużyn w lidze będzie bardzo duży.

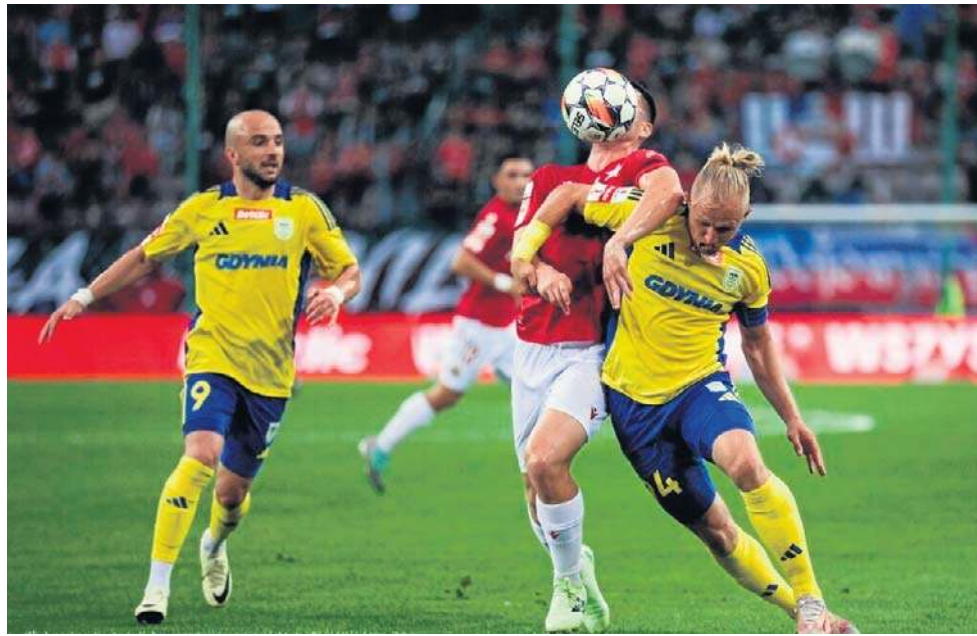
Piłkarska uczta zapowiada się na stadionie miejskim w Gdyni w piątek, 28 lutego 2025 roku. Od godz. 20.30 na murawie przy Olimpijskiej o punkty rywalizować będą piłkarze Arki Gdynia i Wisły Kraków. Żółto-niebiescy to wicelider tabeli 1 Ligi, a „Biała Gwiazda” odrabia mozolnie straty z nieudanego początku sezonu.

W Gdyni stawi się Ángel Rodado, czyli nowy lider klasyfikacji strzelców 1 Ligi. Hiszpan ma na koncie 16 trafień. W ostatnim meczu Wisły w Chorzowie popisał się hat-trickiem.

- Myślę, że Rodado jest nieprzyjemny dla wielu klubów, a nie tylko dla Arki. Nie przygotowujemy się nigdy specjalnie pod jednego gracza. Aczkolwiek będziemy proponować obrońcom, co trzeba by indywidualnie zrobić, aby ograniczyć jego działania. Tak jak pod każdego przeciwnika. Tam samo przygotowaliśmy się pod Daniela Stanclika (napastnik Znicza Pruszków - przyp.), czy Kacpra Śpiewaka (napastnik Polonii Warszawa - przyp.). Tak też będzie z napastnikami Wisły Kraków. Nie bez przyczyny, ci najlepsi zawodnicy w lidze, nawet jeśli się zespół pod nich przygotowuje, dalej są w stanie strzelać bramki, czy po prostu dobrze grać. Najważniejsze są działania boiskowe - wyjaśnia Dawid Szwarga, trener Arki Gdynia.

Szkolenowiec żółto-niebieskich ucieka od stwierdzenia, że od wyniku meczu Arki z Wisłą Kraków zależeć będzie ogólna ocena potencjału jego drużyny. To kolejny mecz o ligowe punkty.

- Ten nie pokaże naszej całej wartości. Ostatni mecz Ruchu Chorzów z Wisłą Kraków nie pokazał całej wartości Wisły



Pierwszy mecz pomiędzy Wisłą Kraków i Arką Gdynia zakończył się remisem 2:2

(„Biała Gwiazda” wygrała na wyjeździe 5:0 - przyp.). Wisła nie jest aż tak mocna, jak ten wynik pokazał. A Ruch nie jest aż tak słaby, jak ten wynik pokazał. Kiedy mierzą się takie silne zespoły, to duży wpływ na to jaki finalnie jest wynik ma dyspozycja dnia. Ten wynik nie odzwierciedla jednak całego

sezonu, całej rundy - zdecydowanie przekonuje trener Dawid Szwarga.

Na tle swojego byłego klubu będzie chciał się pokazać Szymon Sobczak. Doświadczony napastnik strzelał w sparingach, ale wiosną wciąż czeka na premierowe trafienie w 1 Lidze.

- To, co było wcześniej, to już do tego nie wracamy. Na pewno mamy bardzo mocny zespół i skupiliśmy się na tym, aby dobrze zimę przepracować. Wiemy, czego kibice w Gdyni oczekują. To współgra z moimi celami. Liczy się awans i po to tutaj przyszedłem. Jeśli chodzi o bramki, to na pewno

jako napastnik, chciałbym aby tych sytuacji było trochę więcej. Myślę, że w najbliższych spotkaniach będzie ku temu okazja, żeby było trochę więcej radości - mówi Sobczak.

W środę Arka poinformowała, że już ponad 5 tysięcy osób zakupiło bilety. Tego spotkania nie zobaczy zorganizowana grupa kibiców Wisły Kraków, co ma związek - oficjalnie - z remontem sektora gości na stadionie.

- Zapraszamy kibiców do zakupu biletów pojedynczych na spotkanie z Wisłą Kraków. Mogą też skorzystać z oferty „sześciopak”. To promocja, która zapewnia jedno spotkanie z Wisłą, Miedzią Legnica, Wartą Poznań, Odrą Opole, Bruk-Betem Termalika Nieciecza i GKS-em Tychy - zachęca Tomasz Rybiński, rzecznik prasowy Arki Gdynia.

Wisła ostatnio postraszyła gromiąc Ruch Chorzów 5:0.

- Nie skupiam się na Wiśle. Wiemy, jak duży potencjał drzemie w naszym zespole. Jeśli chodzi o ofensywę nie pokazaliśmy tego w tych dwóch pierwszych meczach wiosny - powiedział Sobczak. ©P

Granie w Orlenie Ekstralidze kobiet oraz w trzeciej i czwartej lidze

Paweł Stankiewicz
pawel.stankiewicz@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. Futbolistki AP Orlenu Gdańsk oraz Pogoni Dekpolu Tczew wracają na ligowe boiska. W weekend wystartuje runda wiosenna w Orlenie Ekstralidze kobiet.

To nie koniec, bowiem do ligowej rywalizacji wracają także męskie zespoły występujące w trzeciej i czwartej lidze. Jakże cele mają drużyny z Pomorza w rundzie rewanżowej?

Drużyna AP Orlenu zakończyła rundę jesienną na siódmej pozycji. Po przebudowie składu nikt nie liczył na to, że podopieczne trenera Tomasza Borkowskiego włączą się do walki o medal, ale oczekiwania były nieco większe.

- Runda jesienna była w kratkę. Po letnich zmianach kadrowych jednak nie ma co się dziwić, że dziewczyny musiały

się zgrać i nauczyć ze sobą funkcjonować - mówi Tomasz Bocheński, prezes AP Orlenu, w rozmowie z „Dziennikiem Bałtyckim”. - W niektórych meczach gra była obiecująca nawet jak wynik nie był korzystny. W spotkaniu z GKS-em Katowice powinniśmy zdobyć przynajmniej punkt. Była przewaga, ale bramki nie padały. W Tczewie porażka nas kompletnie zaskoczyła. Można było zdobyć cztery punkty więcej, a to dałoby nam piąte miejsce, czyli adekwatne do naszego poziomu sportowego. Oczywiście, że braliśmy pod uwagę, że ten sezon nie będzie tak dobry. Pewne rzeczy, nad którymi pracowaliśmy przez dwa lata, musiały ulec zmianie.

Piłkarki AP Orlenu tracą cztery punkty do zajmującego piąte miejsce w tabeli Górnika Łęczna i wiosną postarają się odrobić tę stratę. Zespół z Gdańska jest też w ćwierćfinale Orlenu Pucharu Polski



Drużyna AP Orlenu Gdańsk chce poprawić swoje miejsce w tabeli

i dwa wygrane mecze dzielą go od występu w wielkim finale. W najbliższej kolejce AP Orlen zagra ze Śląskiem Wrocław. Mecz odbędzie się w sobotę o godzinie 13 na stadionie Polsat Plus Arena Gdańsk. Pogoń Dekpol zmierzy się z Czarnymi Sosnowiec (sobota, godz. 15).

Pierwsze mecze o ligowe punkty rozegrają w tym roku także pomocnicy trzecioligowcy. Program meczów: Gryf Słupsk - Unia Swarzędz (sobota, godz. 17), Wybrzeże Rewalskie Rewal - Cartusia Kartuzy (sobota, godz. 12), Pogoń Nowe Skalmierzyce - Gedania Gdańsk (niedziela, godz. 14).

W weekend odbędą się mecze 18 kolejki w IV lidze: Wikęd Luzino - Radunia Stężyca (sobota, godz. 12), Supra Kwidzyn - Anioły Garczegorze (sobota, godz. 15), Chojniczanka II - Gryf Wejherowo (niedziela, godz. 11), Pogoń Lębork - Bytovia Bytów (sobota, godz. 15), Stolem Gniewino - Czarni Pruszcz

Gdański (sobota, godz. 11), Grom Nowy Staw - Wierzyca Pelplin (sobota, godz. 12), Sparta Sycewice - Bałtyk Gdynia (sobota, godz. 11.30), Pomezania Malbork - Kolejjarz Chojnice (sobota, godz. 11), KP Starogard Gdański - Jaguar Gdańsk (sobota, godz. 14).

AP Orlen Gdańsk
Bramkarki: Marta Michlewicz, Samuela Landowska, Nikola Rykowska

Zawodniczki z pola: Julia Ignatowicz, Roksana Jagodzińska, Angelika Kołodziejek, Oliwia Łapińska, Viktoria Osowska, Jolanta Siwińska, Anna Skrzypczyk, Jagoda Szewczuk, Weronika Tarnawska, Gabriela Zimecka, Georgina Aoyem, Venessa Mazur, Yuli Gal, Viktoria Sieradzka, Julia Hennig, Julia Maskiewicz, Anna Furmaniak, Klaudia Fabova, Kinga Klimczak, Agnieszka Derus, Maya Lucia, Ellie Christon, Zofia Okoń, Maria Ostopinka, Martina Geletova, Natalia Kulig. ©P